

RAPORT: Czego nie wiemy o Polonii?

k w a r t a l n i k

respublica

nr 13/2011, **wiosna 2011**
203/rok XXIV, ISSN: 1230-2155
Cena 20 zł (VAT 5%)

NOWA

Wiersze
Samanthy Kitsch
z wprowadzeniem
Joanny Mueller

Marcin Król
o Danielu Bellu

Leonard Neuger
Aleksander Smolar
Irena Grudzińska-Gross
Krzysztof Iszkowski
Thilo Sarrazin
Pierre Manent



Powroty

Nr indeksu: 375500
Nakład 2800 egz.



- Przemysław Czapliński o polskim języku postkolonialnym
- Agnieszka Podpora o izraelskich pisarkach
- Raport DNA Miasta: Diagnoza
- Wypędzeni z Czech – Kateřina Tučková
- Andrzej Leder: Miasto mówi murami

kwartalnik
respublica
NOWA

POWROTY

- 6 Powrót *Leonard Neuger*
- 9 Wyjechałam *Irena Grudzińska-Gross*
- 10 Pytania wielokrotnego wyboru *Magdalena Malińska*
- 14 Raport: Mapa źródeł wiedzy o Polonii. Polonia a Polacy za granicą *Magdalena Kołodziejczyk*
- 14 Raport: Mapa źródeł wiedzy o Polonii. Migracja a ekonomia *Marcin Strzelczyk*
- 22 Byłam w dwóch miejscach jednocześnie *Gabriela M. Buczek*
- 26 Jak i dlaczego sprowadzać imigrantów? *Krzysztof Iszkowski*
- 29 Hermesi z Brukseli w poszukiwaniu złotego środka *Tomasz Bańka*
- 31 Jechałem w pustkę, wracałem z radością *Aleksander Smolar*

KULTURA

- 36 Efekt obcości. O teatrze postimigranckim w Niemczech *Beata Szulęcka*
- 40 Polska widzialna i niewidzialna: powroty do korzeni pisarek izraelskich *Agnieszka Podpora*

DNA MIASTA

- 48 Rujnowanie codzienności: fotoreportaż z budynku przy Gogoliwskiej *Anastazja Riabczuk*
- 59 Stolica kultury – europejska czy obywatelska? *Artur Celiński, Aleksandra Niżyńska*

EUROPA DYSKUSJE

- 69 Thilo Sarrazin, *Niemcy unicestwiają się same* – książka, która nic nie wyjaśnia *Therese Kosowski*
- 76 Niemcy unicestwiają się same *Thilo Sarrazin*
- 84 Hatifnaty i porno *Anatolij Uljanow, Anton Kaszlikow*

POLITYKA/IDEE

- 92 Emigracja i Europa *Pierre Manent, Ariadna Lewańska*
- 110 Wspomnienie o Danielu Bellu *Marcin Król*



RES MUSICA

112 Krawężnikofon *Marcin Zalewski*

KSIĄŻKI

118 Migrantka ze słownikiem synonimów *Piotr Sterczewski*

121 Języki niezależności *Przemysław Czapliński*

132 Republikańska otchłań wolności *Marcin Moskalewicz*

134 Historie filozofii politycznej *Maciej Melon*

138 Seks kontra tekst *Ewa Stusińska*

141 Gruzja... daleka, a bliska *Wojciech Materski*

144 Sen to czy mara? Czesko-niemiecka historia wypędzeń *Martyna Obarska*

PROZA

148 Wypędzenie Gerty Schnirch *Kateřina Tučková*

POEZJA

154 Kto się boi Samantha Kitsch? *Joanna Mueller*

156 Wiersze *Samantha Kitsch*

158 Wspomnienie o Bolesławie Taborskim *Zbigniew Pełczyński*

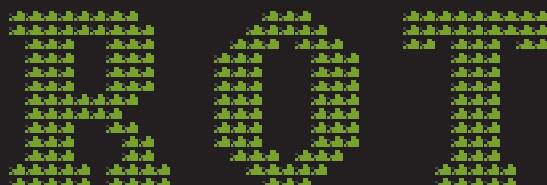
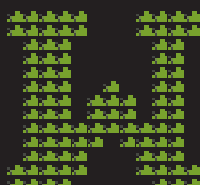
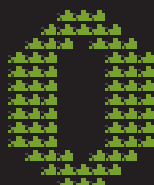
EKONOMIA

162 O tym, jak młodzi dobrowolnie finansują przywileje starszych *Tomasz Kasporwicz*

168 Dokąd płynie cargo? *Xawery Stańczyk*

MIASTO MÓWI MURAMI

172 Hutnik *Andrzej Leder*



Pytania wielokrotnego wyboru

MAGDALENA MALIŃSKA

Narodowy Spis Powszechny Ludności i Mieszkań (2011) – jak wszystkie dotychczasowe – budzi wiele kontrowersji. Różnego rodzaju mniejszości, których głosu nie uwzględniono w spisie w 2002 roku, wykorzystały czas, jaki od niego upłynął, na wywalczenie przeformułowania pytań i zmian spisowych kategorii. W nowym kształcie mają one odzwierciedlać rzeczywistość różnorodność naszego społeczeństwa. Walka o sprawiedliwość jak zwykle toczy się w dwu wymiarach: symbolicznym (któ-



ry odbieramy jako wzniosły i emocjonalny) oraz ekonomicznym (niskim i wyważonym). W sferze symbolicznej, będącej domeną mniejszości domagających się dostrzeżenia, obowiązuje romantyczna retoryka tożsamości, wykluczenia, honoru, krzywdy i ucisku oraz prawa jednostki do zachowania swojego indywidualizmu. W drugiej sferze, w której rzecznicy wspólnego interesu okopują się i skąd odpierają niemożliwe

Mapa źródeł wiedzy o Polonii

Polonia a Polacy za granicą

MAGDALENA KOŁODZIEJCZYK

Można przyjąć, że Polakiem jest osoba o obywatelstwie polskim, Polonię natomiast tworzą osoby nieposiadające obywatelstwa, należące do pierwszego bądź kolejnych pokoleń trwale mieszkających za granicą. Sytuacja prawna tej grupy nie jest dokładnie określona. Konstytucja definiuje, kim jest obywatel Polski, oraz w artykule 36. stwierdza, że obowiązkiem państwa jest opieka nad Polonią i Polakami za granicą. Zapisy konstytucyjne nadal jednak nie są w wystarczającym stopniu wypełnione odpowiednimi ustawami i aktami prawnymi.

Według ustaleń Władysława Miodunki pojęcie „Polonia”, używane od końca XIX wieku, określało początkowo „cudzoziemców polskiego pochodzenia, odczuwających związek z krajem pochodzenia i jego kulturą”. Od połowy XX wieku przyjęto rozróżnienie na „Polonię” i „Polaków zza granicy”, by wyodrębnić zbiorowości polonijne o imigracyjnym rodowodzie i zbiorowości oddzielone od państwa wskutek zmiany jego granic – żyjące na Litwie, Białorusi i Ukrainie. Obecnie mówimy tak również o obywatelach polskich, którzy wyjechali za granicę, najpierw ze względów politycznych, potem w celach zarobkowych, naukowych, edukacyjnych lub wynikających z możliwości, jakie daje nam życie w globalnej wiosce.

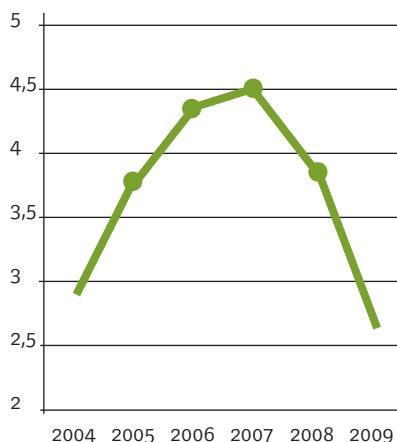
Ustalenie, kto jest jeszcze „Polakiem za granicą”, a kto już członkiem „Polonii”, to zarówno kwe-

Migracja a ekonomia

MARCIN STRZELCZYK

Według danych NBP od 2008 roku konsekwentnie spada kwota przelewów nadawanych przez emigrantów do Polski. Ta informacja rodzi wiele pytań o sytuację ekonomiczną Polaków. Odpowiedzi na nie określą zarazem, czym z ekonomicznego punktu widzenia jest emigracja.

Przelewy (mld euro)



Emigrację można w ogromnym uproszczeniu podzielić na „starą” i „nową”: nowa emigracja to osoby, które wyjechały z Polski po 2004 roku, korzystając z otwarcia rynków pracy w Unii Europej-



Byłam w dwóch miejscach jednocześnie

GABRIELA M. BUCZEK

Wstęp

Podwójne życie Weroniki: reaktywacja. Tym razem jedna w Kanadzie, a druga w Polsce. Co by było, gdybym jako dziecko nie wyjechała do innego świata? Może skończyłabym tu szkoły, moje poglądy i obraz siebie byłby ukształtowany wyłącznie przez rodaków. Może wybrałabym kompletnie inny zawód lub w tym momencie miała już męża i trójkę dzieci. Może byłoby mi łatwiej, bo znałabym tylko jeden zestaw zachowań i zasad, nie miałabym luk w wiedzy o społeczeństwie i popkulturze polskiej, nie wyróżniałabym się zachowaniem i ułożyła sobie życie „po Bożemu”. Czasem myślę, że tak byłoby lepiej. Jest tylko jedno niebezpieczeństwo – być może pragnęłabym wówczas wyjazdu za granicę, aby tam ułożyć sobie życie. I wtedy ta



Jak i dlaczego sprowadzać imigrantów?

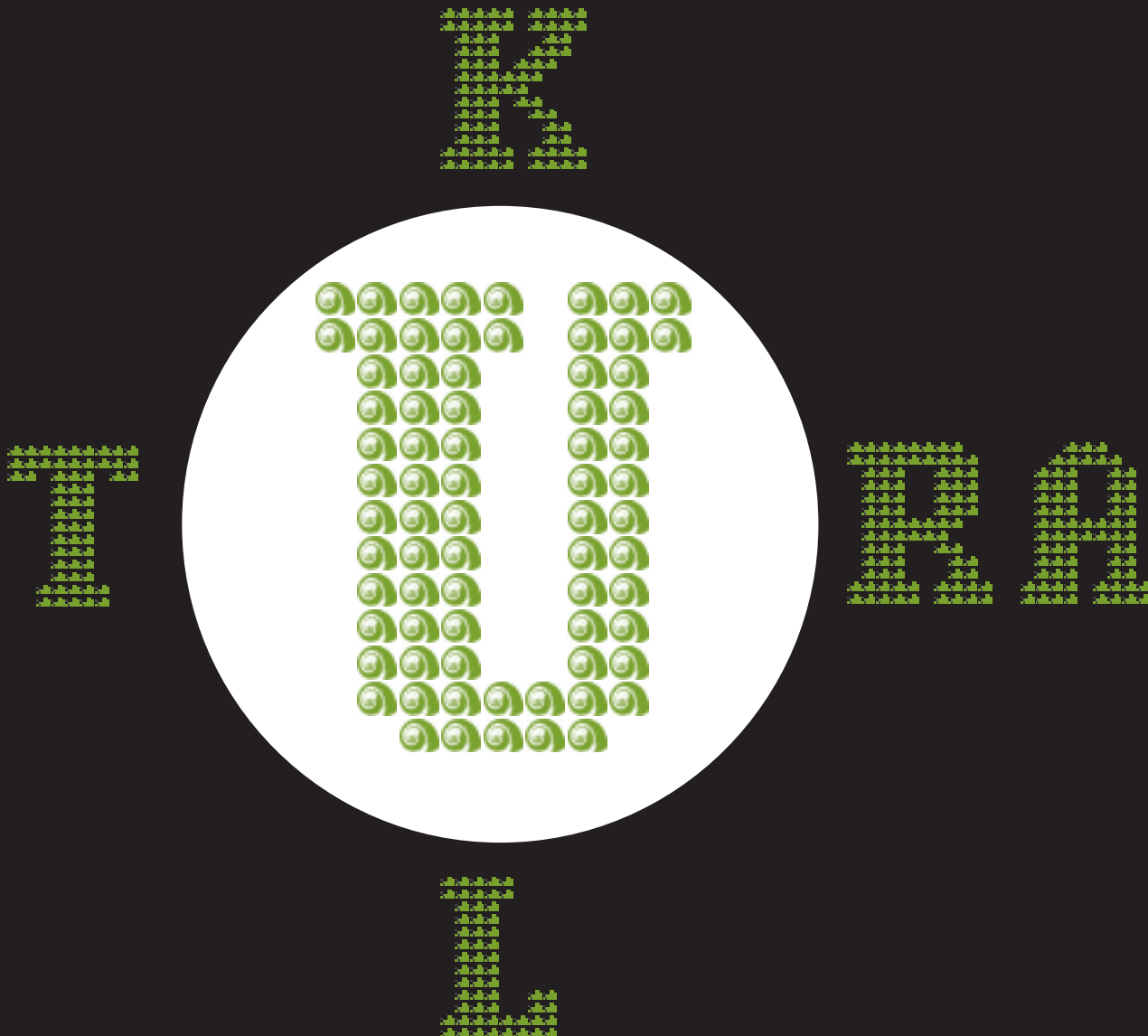
KRZYSZTOF ISZKOWSKI

Po blisko dwóch dekadach niedostrzeganej zapaści demograficznej Polacy zdali sobie sprawę z jej prawdopodobnych konsekwencji. Kierowany przez Kazimierza Marcinkiewicza rząd narodowo-populistycznej koalicji próbował rozwiązać problem powszechną i nieproporcjonalnie małą w stosunku do kosztów wychowania dziecka zapomogą, obecna chadecka ekipa stawia na bardziej systemowe rozwiązania. Dostępność i jakość żłobków oraz przedszkoli stała się przedmiotem publicznej troski, publiczności o zasadniczo odmiennych poglądach na gospodarkę zgodnie podkreślają znaczenie, jakie dzisiejsza liczba urodzin będzie mieć dla zamożności polskiego społeczeństwa za 30 i 50 lat.

Najnowsze dane pokazują pewien wzrost liczby urodzeń – co w większym stopniu przypisać można wyjątkowo w Polsce silnemu zjawisku echa demograficznego niż skuteczności becikowego czy artykułów Jacka Żakowskiego i Krzysztofa Rybińskiego – lecz problem nie zniknął. Powrót do poziomu prostej zastępowalności pokoleń, czyli współczynnika dzietności rzędu 2,1 żywych urodzeń na każdą kobietę w ciągu całego jej życia, wydaje się niemożliwy.

Zresztą, nawet natychmiastowe osiągnięcie tego natalistycznego celu nie rozwiązałoby problemu – liczba urodzonych w Polsce dzieci spadała od roku 1991 do 2004, a od 1997 współczynnik dzietności wynosi mniej niż 1,5. Lukę na rynku pracy, którą dostrzeżać zaczniemy już za 4–5 lat, wypełnić mogą tylko imigranci.

Niestety, rząd ignoruje konieczność opracowania racjonalnej polityki imigracyjnej w jeszcze większym stopniu niż ekipy lat 1990–2005 ignorowały kwestie liczby urodzeń, żłobków i przedszkoli. Jedyna wzmianka o imigracji w raporcie *Polska 2030* dotyczy spodziewanej degradacji niektórych dzielnic wielkich miast w wyniku masowego osiedlania się w nich źle zintegrowanych imigrantów. Wobec takiego nastawienia rządu nie należy się dziwić, że nieliczni – w porównaniu z innymi krajami UE – przybysze traktowani są przez różne państwowe instytucje jak oszuści i źródło potencjalnego zagrożenia. Policja patrzy przez palce na rasistowskie wybryki ludu, a wyrosła z inteligencji klasa średnia z satysfakcją zatrudnia ukraińskie i białoruskie pomoce domowe, czym leczy swoje kompleksy z młodości przepracowanej na zmywaku w Monachium, Paryżu czy Londynie. Co jakiś czas odzywa się wreszcie oderwany od rzeczywistości głos,



Efekt obcości. O teatrze postimigranckim w Niemczech

BEATA SZULĘCKA

Kontrowersyjna książka Thilo Sarrazina *Niemcy unicestwiają się same!* wywołała ferment w toczącej się od kilku dekad debacie wokół problemów integracji. Na ów antymuzułmański traktat, wyraz dezorientacji elit, odpowiedzi zaczęli udzielać artyści, w tym twórcy teatralni. 24 grudnia zeszłego roku ukazał się w „Gazecie Wyborczej” tekst Joanny Derkaczew *Teatr niemiecki po Thilo Sarrazinie*, w którym autorka sugeruje, że książka Sarrazina miałaby stanowić cezurę oddzielającą stary, zdominowany przez spory estetyczne i ideologiczne teatr niemiecki od tego, który wyrasta z trudnego doświadczenia życia w wielokulturowym społeczeństwie. Derkaczew pisze: „Reżyserzy nie zastanawiają się już, jak robić teatr, który podważa mieszczańskie tabu, rozdrapuje pamięć o Holocauście czy rewiduje dokonania rewolucji '68. Szukają teatru, który integruje. Który odpowie na pytanie, jak żyć razem z imigrantami w zmieniającym się społeczeństwie”².

Diagnoza Derkaczew wydaje się być nieco przesadzona. Przyglądając się życiu teatralnemu Berlina, nie odnoszę wrażenia, by nagle na niemieckiej scenie teatralnej miało dojść do zmiany jakościowej. Oto w Volksbühne, scenie przy Rosa-Luxemburg Platz, która zasłynęła z obrazoburczych politycznych spektakli takich twórców, jak Frank Castorf czy Christoph Schlingensief, nadal rewiduje się dokonania rewolucji '68 (spektakl *Chinka* Dmitrija Gotscheffa, premiera w 2010 roku) oraz prowadzi spory polityczno-estetyczne (sztuki Rene Pollescha). W repertuarze innych ważnych berlińskich scen, takich jak Deutsches Theater, Schaubühne czy Maxim Gorki Theater albo Berliner Ensemble, dominują kla-

sycy: Ibsen, Brecht, Sofokles, Gorki i Szekspir. Fakt, że scena niemiecka pozostaje w przeważającej większości sceną narodową, na której imigranci głosu nie mają, nie musi być zarzutem, jednak na pewno jest symptomem czegoś. Wydaje mi się bowiem, że teatr niemiecki to raczej teatr, który ignoruje.

O hermetyczności niemieckiego środowiska kulturalnego świadczą fakty przytaczane przez Shermin Langhoff, dramaturżkę od 2008 roku kierującą teatrem Ballhaus Naunynstrasse w berlińskiej dzielnicy Kreuzberg, który sama określa jako teatr postimigrancki. W wywiadzie udzielonym Andreasowi Fanizadehowi Langhoff mówi: „Teatr imigrancki i postimigrancki nigdy nie był traktowany poważnie przez niemiecką kulturę oficjalną [*Kulturbetrieb*], nigdy też się do niej nie zaliczał. (...) Przed piętnastoma laty Birol Ünel zagrał Zygryda, a co mamy dzisiaj?”³. Imigranci są w niemieckim teatrze nieobecni. Ilknur Bahadır, aktorka tureckiego pochodzenia, owszem, gra u uznanego niemieckiego reżysera Stephana Bachmanna sprzątaczkę albo prostytutkę. Jednak władze instytucji kultury, jury oceniające w każdej z dziedzin związanych ze sztuką, muzyką czy literaturą albo krajowe fundacje kulturalne obsadzane są całkowicie jednostronnie. Pierwszy absolwent tureckiego pochodzenia Nurkan Erpulat, pracujący obecnie w Ballhaus Naunynstrasse, ukończył renomowaną berlińską szkołę teatralną Ernst Busch w 2008 roku. Langhoff twierdzi, że niemiecka kultura oficjalna nie ma świadomości tych dysproporcji, nieobecność mniejszości jest niezauważana. „Po pięćdziesięciu latach imigracji z Anatolii nic się na starym Zachodzie nie zmieniło” – diagnozuje dramaturg teatru na Naunynstrasse⁴.

Polska widzialna i niewidzialna: powroty do korzeni pisarek izraelskich

AGNIESZKA PODPORA

– *Podróżujesz, żeby jeszcze raz przeżyć swoją przeszłość? – brzmiało w tym miejscu pytanie Chana, które mogło być równie dobrze sformułowane:*

– *Podróżujesz, aby odnaleźć swoją przyszłość?*

A odpowiedź Marka:

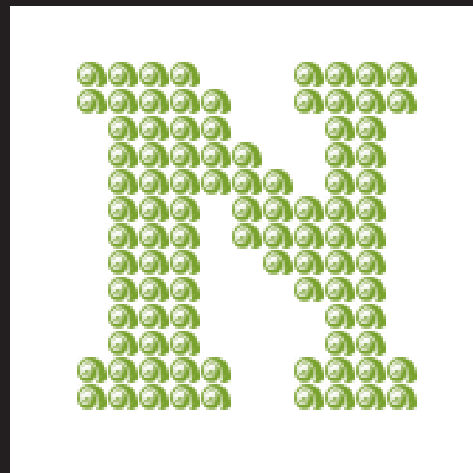
– *To, co istnieje gdzie indziej, jest odwróconym zwierciadłem. Podróżnik rozpoznaje tę część, która należy do niego, odkrywając ogrom tego, czego nie miał i mieć nie będzie¹.*

1

W literaturze hebrajskiej ostatnich sześćdziesięciu lat ubiegłego wieku wszystkie ścieżki do Polski prowadziły przez traumę Zagłady. Już w trakcie II wojny światowej, a także wiele lat po niej Holocaust był i jest obecny w świadomości i twórczości izraelskich pisarzy, poetów, filozofów i dramaturgów jako doświadczenie najmroczniejsze, z którym w sposób jawny lub ukryty zmagają się kolejne pokolenia, niezależnie od rodzaju ich indywidualnego związku z tematem. Polska – jako miejsce, gdzie wojna pochłonęła najwięcej Żydów i skąd przybyło do Izraela po wojnie wielu ocalonych – stała się na izraelskiej mapie mentalnej symboliczną areną Zagłady, swistą metonimią traumy osobistej, rodzinnej i ogólnonarodowej; miejscem, którego trwanie tę traumę w pewnym sensie ewokuje i bez końca aktualizuje. W świadomości kolejnych pokoleń Izraelczyków Polska pozostawała więc przez długie powojenne lata z jednej strony symbolem wielowiekowej obecności Żydów w Europie, z drugiej zaś – figurą zmitologi-

zowanego „tam”, *erec szam*², miejsca, gdzie dokonano unicestwienia tej obecności. Te dwa obszary pamięci: życie i śmierć wyznaczają do dziś silnie obecną w izraelskim myśleniu o Polsce podwójność. Ta dwubiegunowość postrzegania sprzyjała osuwaniu się Polski w sferę symboliczną i mityczną, zarówno na poziomie pamięci kolektywnej, jak i indywidualnej, czego doskonałym przykładem jest literatura izraelska ostatnich pięćdziesięciu lat. Shoshana Ronen, autorka książki poświęconej obrazowi Polski i Polaków we współczesnej literaturze izraelskiej, stwierdza wręcz, że w większości utworów „Polska i Polacy to raczej mit niż rzeczywistość. Polska jest przedstawiona jako terytorium legend, opowieści, kolektywnych wspomnień, ale nie jako miejsce żywe, rzeczywiste”³. Poprzez powiązanie ze światem przeszłości i jego unicestwieniem Polska stała się artefaktem mitologii nie tylko narodowej, ale również, jak w przypadku rodzin imigrantów z tego kraju, indywidualnej, opartej na narracjach osobistych.

Owemu przesunięciu Polski i tego, co z Polską związane, ze sfery rzeczywistości na płaszczyznę mitologii sprzyjał również antydiasporowy profil retoryki syjonizmu, której głównym elementem był – szczególnie silny w izraelskim dyskursie publicznym w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych – imperatyw radykalnego mentalnego odcięcia się od diaspory (hebr. *szlilat ha-gola*). Przeszłość Żydów w Europie – konotowana jednoznacznie negatywnie jako synonim słabości i swoistej degeneracji kolektywnej, która swoją kumulację znalazła w Zagładzie – miała w myśl syjonistycznego projektu narodowego zostać odrzucona na rzecz odrodzenia w Izraelu



MIASTA



Rujnowanie codzienności: fotoreportaż z budynku przy Gogoliwskiej

ANASTAZJA RIABCZUK

Przy ulicy Gogoliwskiej, w historycznym centrum Kijowa, znajduje się rozpadający się budynek, którego mieszkańcy już ponad 20 lat są zmuszeni mieszkać w lokalach komunalnych, czekając na przeniesienie. Jest to tylko jeden z licznych przypadków naruszania podstawowego prawa człowieka do dachu nad głową. Niektórym mieszkańcom udało się wyprowadzić z tego domu, ale osoby, których nie stać na mieszkanie w lepszym miejscu, żyją tam do dziś. Regularnie piszą one listy do władz miejskich, inicjują publiczne konsultacje i akcje protestu, ale ich żądania pozostają bez odpowiedzi.

Fotografka Eugenia Bielorusce' przez ponad trzy lata fotografowała mieszkańców tego budynku, ich życie codzienne i odpoczynek, wnętrza ich mieszkań. Główna bohaterka projektu fotograficznego zmarła z powodu nieodpowiednich warunków lokality, inni mieszkańcy wciąż czekają na zmiany. Niniejszy artykuł jest próbą socjologicznej analizy tych zdjęć – z poświęceniem szczególnej uwagi takim aspektom, jak rola fotografii dokumentalnej, doświadczenie życia w niszczącym budynku, funkcjonowanie rynku mieszkaniowego i perspektywy mobilizacji dla zapewnienia odpowiednich warunków mieszkaniowych.

Wyzwania dla fotografii dokumentalnej

Miasta postsowieckie często kojarzą się z przygnębiającymi obrazami chruszczówek, szarych panelowych budynków, zaniedbanych budowli historycznych i zrujnowanej infrastruktury. Niektóre problemy mieszkaniowe o korzeniach sięgających jeszcze lat

Fot. Eugenia Bielorusce'



BRAKUJE OPISÓW CODZIENNEGO DOŚWIADCZENIA LUDZI, KTÓRZY MIESZKAJĄ W TAK NIEODPOWIEDNICH MIESZKANIACH.

70. i 80., analizuje John Sillince w pracy *Housing Policies in Eastern Europe and the Soviet Union* [Polityka mieszkaniowa w Europie Wschodniej i ZSRR]. Gregory Andrusz i inni w monografii zbiorowej *Cities after socialism* [Miasta po socjalizmie] szczegółowo opisują przejście miast postsowieckich do kapitalizmu. [...] Nawet tacy autorzy zachodni, jak np. Mike Davis, którzy obszarowi postsowieckiemu poświęcają bardzo mało uwagi, twierdzą, że tutaj miejskie slumsy rozrastają się najszybciej na świecie i że „miasta niszczą się w tak zawrotnym tempie, w jakim rosną ekonomiczne nierówności i dezinvestycje”.

Jednocześnie te liczne raporty i ponure opisy pomijają kilka ważnych aspektów. Po pierwsze, nieodpowiednie warunki życia zazwyczaj wyjaśnia się jako pozostałość czasów radzieckich (przepełnienie mieszkań, ich niska jakość) albo jako skutek uboczny okresu przejściowego (szybkie zmiany w ustawodawstwie, niski poziom budownictwa socjalnego w latach 1990–2000). W ten sposób kwestia mieszkaniowa jawi się jako tymczasowe zjawisko, które może być rozwiązane za pomocą rozsądnych strategii miejskiego planowania, brakuje natomiast jakichkolwiek prób analizy wewnętrznej logiki funkcjonowania rynku mieszkaniowego w na wpół peryferyjnych kapitalistycznych państwach, do których należy też Ukraina.

Po drugie, brakuje opisów codziennego doświadczenia ludzi, którzy mieszkają w tak nieodpowiednich mieszkaniach. Szokujące historie trafiają czasem do mediów (jako przykład można podać tragedię w Ałczewsku zimą 2006 roku [Goroda i oblasti Ukrainy,



Fot. Eugenia Bielorusce'

2010], kiedy to ponad sto tysięcy ludzi zostało bez ogrzewania, gazu, energii elektrycznej, wody i kanalizacji w ponad trzydziestostopniowym mrozie), ale szybko się o nich zapomina. Jak zaznacza Bourdieu, zawód dziennikarza wymaga skupienia się na sprawach nadzwyczajnych i dramatycznych, a „monotonne życie codzienne w ubogich dzielnicach miasta nikomu nic nie mówi i nikogo nie ciekawi”.



Fot. Eugenia Bielorusiec'

W sztuce ten temat również pozostaje marginalny – przedstawianie problemów społecznych odrzuca się jako staromodny „socrealizm”. W szczególności społeczno-krytyczne projekty fotograficzne, których autorzy nazywaliby siebie socjologami (jak robił to Lewis Hine, jego zdjęcia eksploatacji pracy dziecięcej opublikowano na początku XX wieku w „The American Journal of Sociology”) czy też współpracowali z socjologami (jak w badaniach sytuacji migrantów-mieszkańców wsi w USA w czasach Wielkiej Depresji, prowadzonych przez fotografkę Dorotheę Lange i socjologa Paula Taylora), w społeczeństwach postsowieckich są wyjątkowo rzadkie.

Ponadto, w przypadku fotografii dokumentalnej, poruszającej problemy społeczne, istnieje ryzyko powierzchownej interpretacji: zdjęcia mogą robić wrażenie zbyt przygnębiających, eksploatujących tematykę mizeryalistyczną [...] lub też zbyt „pięknych”, z powierzchowną populistyczną interpretacją i estetyzacją biedy w duchu stwierdzenia „ubóstwo

nie jest przestępstwem”. Na przykład Howard Becker w eseju *Photography and Sociology* [Fotografia i socjologia] krytykował zdjęcia Bruce’a Davidsona z Haarlemu za to, że opierają się na banalnych tezach w rodzaju: „Spójrzcie, jak ci ludzie cierpią” lub „Spójrzcie, jacy są szlachetni pomimo cierpienia”.

Odwiedziwszy w 1955 roku wystawę fotograficzną *Wielka ludzka rodzina* (na której dziesięć lat po zakończeniu drugiej wojny światowej chwalono jedność ludzkiego doświadczenia – narodzin, miłości, pracy, śmierci itd.), Roland Barthes wyraził zaniepokojenie, że „wszystko – treść i fotogenika zdjęć, wypowiedź, która je uzasadnia – zmierza do usunięcia determinującego ciężenia Historii”:

Zatrzymujemy się na powierzchni jakiejś tożsamości, zażenowani sentymentalizmem przenikania do owej ostatecznej sfery ludzkich zachowań, tam, gdzie historyczna alienacja wprowadza swoje „różnice”, które nazwiemy



Stolica kultury – europejska czy obywatelska?

ARTUR CELIŃSKI
ALEKSANDRA NIŻYŃSKA

Kultura się liczy, kultura napędza gospodarkę, kultura wzmacnia promocję. Te hasła od pewnego czasu stały się podstawowym paradygmatem mówienia o aktywności kulturalnej. Kultura jest w nich rozumiana głównie jako atrakcyjne wydarzenia artystyczne, dzięki którym można osiągnąć cele gospodarcze i ekonomiczne. „Res Publica Nowa” od kilku lat prezentuje alternatywny sposób patrzenia na kulturę jako na sferę wspólnej aktywności obywateli. Skupiając się na mieście, pokazujemy, jak ważne jest włączanie mieszkańców w kształtowanie kultury. Udział polskich miast w wyścigu o tytuł Europejskiej Stolicy Kultury uznaliśmy za doskonały punkt wyjścia do zdiagnozowania poziomu partycypacji mieszkańców w tym obszarze. Jednym z priorytetów konkursu ESK jest bowiem udział obywateli w kształtowaniu oferty kulturalnej miasta i aktywne włączanie się w realizację przedsięwzięć z tego zakresu. Wyniki naszych badań pokazują jednak, że Komisja Europejska o wiele silniej podkreśla europejski wymiar konkursu, a polskie miasta nadal mają problem z partycypacyjnymi sposobami współpracy z mieszkańcami.

13 października 2010 roku przedstawiciele jedenastu polskich miast (Białegostoku, Bydgoszczy, Gdańska, Katowic, Lublina, Łodzi, Poznania, Szczecina, Torunia, Warszawy i Wrocławia) w napięciu czekali na wyniki preselekcji w konkursie Europejska Stolica Kultury 2016. Ogłoszono je podczas konferencji prasowej w Teatrze Wielkim w Warszawie. W grze pozostało jedynie pięć miast. Przebywający na konferencji dziennikarze zadawali głównie pytania na otarcie łez, o to, które z pozostałych

ośrodków były blisko finału. Jedno z niewielu rzeczywiście istotnych zagadnień poruszył Roman Pawłowski. Postawił on tezę, że selekcja była dokonywana ze względu na finansowe możliwości poszczególnych kandydatów, a nie na ich rzeczywistą koncepcję programową. Komisja naturalnie zaprzeczyła tym zarzutom i szybko poprosiła o następne pytanie. Równie zdawkowo potraktowano kolejny ważny problem, dotyczący kryteriów oceny konkursu, czyli „Wymiaru europejskiego” oraz „Miasta i obywateli”. Odpowiadając, w jaki sposób członkowie komisji na potrzeby selekcji rozumieli ten ostatni priorytet, eksperci nie wyszli poza standardowe hasło „Uspołecznianie kultury”, za którym nikt tak do końca nie wie, co naprawdę się kryje.

To „Res Publica Nowa” zadała pytanie o priorytet „Miasto i obywatele”. Dzięki realizacji od kilku lat programu *DNA Miasta* udało nam się poznać warunki funkcjonowania polityk kulturalnych miast, a także dokonać analizy partycypacji w kulturze ich mieszkańców. Artur Celiński, jako szef zespołu, który przez ostatnie lata koncentrował się głównie wokół starań o tytuł Europejskiej Stolicy Kultury 2016, nie bez przyczyny dopytywał się właśnie o obywatelski komponent konkursu. Rezultaty badań prowadzonych przez zespół badawczy wskazują bowiem na głębokie niezrozumienie priorytetu obywatelskiego i coraz częściej pojawiającego się hasła „Uspołecznianie kultury”.

W badaniu *DNA Miasta: Diagnoza* staraliśmy się znaleźć odpowiedzi na pytania o sam proces tworzenia aplikacji konkursowej i programu obchodów, o to, w jaki sposób we wnioskach aplikacyjnych uwzględniono priorytet „Miasto i obywatele”, jak realizowana jest polityka kulturalna miast w kontekście obywatelskiej partycypacji.



Opracowując badanie, postawiliśmy sobie za cel zbadanie procesu „uspołeczniania kultury” na kilku poziomach i uchwycenie różnych perspektyw: to samo zjawisko może inaczej wyglądać z punktu widzenia władz miasta, a inaczej – w oczach mieszkańców. W związku z tym zastosowaliśmy cztery metody badawcze:

- 1) analizę dokumentów konkursowych miast-kandydatów,
- 2) wywiady z przedstawicielami organizacji pozarządowych,
- 3) wywiady pogłębione z osobami zaangażowanymi w przygotowanie aplikacji konkursowej,
- 4) zogniskowane wywiady grupowe (tzw. grupy fokusowe) z mieszkańcami zainteresowanymi życiem kulturalnym swojego miasta.

W pierwszym etapie (analizie dokumentów) badaniem objęliśmy wszystkich kandydatów do tytułu ESK. W kolejnych etapach badawczych skupiliśmy się na czterech miastach – Gdańsku, Lublinie, Łodzi i Warszawie. Przy ich doborze kierowaliśmy się kryterium różnorodności: wybrane przez nas miasta stosowały różne formy przygotowania aplikacji (w niektórych robiła to wyspecjalizowana firma, w innych – komórka urzędu miasta), mają różną rangę w życiu kulturalnym Polski, są rozrzucone geograficznie. Ostatni etap – grupy fokusowe – został zorganizowany jedynie w Lublinie i Gdańsku. Wybraliśmy te miasta jako najlepiej reprezentujące dwa modele przygotowań kandydatury na konkurs ESK.

Pytanie, jakie należy sobie zadać na samym początku badania udziału polskich miast w konkursie, brzmi: dlaczego tytuł Europejskiej Stolicy Kultury jest tak ważny, a kolejne europejskie miasta poświęcają tak wiele energii, by go zdobyć? Pierwszym powodem jest oczywiście niekwestionowany prestiż. Obecnie co roku wybierane są tylko dwa miasta z Unii Europejskiej, które mogą poszczycić się tym mianem. Daje to bardzo duże możliwości kreowania promocji stolicy kultury i przyciągnięcia turystów z całej Europy. Wiedzą o tym doskonale kandydaci do tego tytułu.

Najważniejszą korzyścią, jaką daje tytuł ESK, wydaje się jednak być szansa na przemianę miasta w wielu aspektach jego funkcjonowania. Linz, który był stolicą kultury w 2009 roku, w swojej aplikacji i programie zawarł nadzieję, że tytuł pomoże mu zyskać wizerunek miasta kultury, co pozwoli



Najważniejszą korzyścią, jaką daje tytuł ESK, wydaje się jednak być szansa na przemianę miasta w wielu aspektach jego funkcjonowania.

w przyszłości na lepszą konkurencję z Salzburgiem i Wiedniem w zakresie pozyskiwania turystów. Nie mniej ważnymi celami wydają się być jednak także te związane z zachęceniem mieszkańców miasta i regionu do bardziej aktywnego uczestnictwa w wydarzeniach kulturalnych oraz stworzenia długofalowej strategii rozwoju sektora kulturalnego.

Polskie miasta kandydujące do ESK z tych wszystkich korzyści zdają sobie sprawę. Urzędnicy czytają raporty ewaluacyjne z dotychczasowych obchodów Europejskiej Stolicy Kultury i zapamiętują przede wszystkim liczby – procent turystów odwiedzających miasto zwiększający się z roku na rok, wysoki poziom obłożenia hoteli nawet w sezonie pozaurlopowym, rosnącą liczbę odbiorców wydarzeń kulturalnych na masową skalę, które napędzają miejską gospodarkę. Te wszystkie efekty można osiągnąć dzięki dobrze zaplanowanej realizacji priorytetu europejskiego. Działania w ramach tego kryterium konkursowego mają bowiem na celu, wedle *Poradnika dla miast ubiegających się o tytuł Europejskiej Stolicy Kultury*:

- wzmocnienie współpracy w każdym sektorze kultury pomiędzy podmiotami z dziedziny kultury, artystami i miastami z danego państwa członkowskiego i innych państw członkowskich,

Res Publica Nowa
przedstawia raport

DNA MIASTA DIAGNOZA

Jak wygląda udział
mieszkańców w tworzeniu
wizji i kierunków działań
miasta w staraniach o tytuł
Europejskiej Stolicy Kultury 2016?

ZAPRASZAMY DO LEKTURY!

Raport jest dostępny na stronie:

www.dnamiasta.pl

DIAGNOZA
MIASTA



OBSERWATORIUM
KULTURY

- podkreślenie bogactwa różnorodności kulturowej w Europie,
- uwypuklenie wspólnych aspektów kultury europejskiej.

W działania te wpisuje się więc rozwój turystyki, poprawa rozpoznawalności miasta w Europie, poszerzenie oferty masowych *eventów* – przyciągających odbiorców z krajów UE. Są to niewątpliwie atrakcyjne rezultaty dla osób odpowiadających za promocję miasta i jego rozwój gospodarczy. Jednak nie są one wystarczające, by miasto rozwijało się równomiernie i stało się dobrym „miejscem do życia”, a nie tylko „odwiedzania”. Z tego względu konkurs ESK opiera się na dwóch filarach – europejskim i obywatelskim. Ten drugi jest mniej spektakularny i często pomijany w medialnych przekazach dotyczących Europejskiej Stolicy Kultury. Konkurs kojarzy się raczej z promocją zewnętrzną wydarzeń odbywających się w danym mieście niż z pracą z mieszkańcami i zachęcaniem ich do udziału w tworzeniu własnego otoczenia kulturalnego.

Jak czytamy w dokumentach unijnych, celem konkursu jest także „wspieranie udziału mieszkańców danego miasta i jego okolic oraz wzbudzanie ich zainteresowania oraz zainteresowania obywateli mieszkających za granicą, [a program] ma być trwałą i stanowiącą integralną część długofalowego rozwoju kulturalnego i społecznego miasta”. Kryterium „Miasto i obywatele” obejmuje więc dwa podstawowe warunki:

- 1) partycypację obywatelską,
- 2) długotrwały charakter przedsięwzięcia, który musi korespondować z rozwojem miasta w długiej perspektywie czasowej.

Zasada partycypacji jest tu jednak rozumiana w specyficzny sposób. Chodzi bowiem o atrakcyjność miasta nie tylko dla lokalnej czy narodowej społeczności, ale także dla turystów z innych państw europejskich. Wyzwaniem projektu realizującego priorytet „Miasto i obywatele” jest zatem „promocja turystyki na poziomie europejskim”. Naturalnie, w opisie zasady partycypacji znajduje się też fragment poświęcony uczestnictwu mieszkań-

ców w realizacji projektów, ale nie jest to, jak się wydaje, podstawowe rozumienie tego kryterium.

Zasada długotrwałej efektywności podejmowanych działań jest bliższa partycypacji rozumianej jako włączanie obywateli w podejmowanie decyzji i tworzenie polityki miejskiej. Program Europejskiej Stolicy Kultury nie ma więc ograniczać się do festiwali i pojedynczych wydarzeń kulturalnych, ale powinien oddziaływać na długotrwały rozwój miasta. Planowane projekty mają być „szansą na zmianę, wzmocnienie i rozwój praktyk kulturalnych w mieście”, jak czytamy w oficjalnym poradniku dla miast-kandydatów. Twórcy tego podręcznika zachęcają do stosowania metody *bottom-up* przy



Zasada długotrwałej efektywności podejmowanych działań jest bliższa partycypacji rozumianej jako włączanie obywateli w podejmowanie decyzji i tworzenie polityki miejskiej.

planowaniu wydarzeń w miastach-kandydatach. Czy te prawdziwie partycypacyjne metody planowania i organizowania przedsięwzięć kulturalnych były w Polsce realizowane?

Miasta kandydackie prezentowały w swoich aplikacjach głównie informacyjny i konsultacyjny sposób włączania mieszkańców w działania kulturalne. Oznacza to, że tworzone były programy mające na celu poszerzanie wiedzy o samej idei ESK i staraniach miasta o ten prestiżowy tytuł. Kandydaci prowadzili bądź deklarowali na przyszłość przeprowadzenie konsultacji wokół oferty kulturalnej. Stosunkowo rzadko sięgano po model partycypacyjnej współpracy, który zakładał wspólne tworzenie koncepcji i kierunków rozwoju. Kryterium „Miasto i obywatele” na sposób partycypacyjny rozumiały głównie Łódź, Katowice, Lublin i Warszawa.

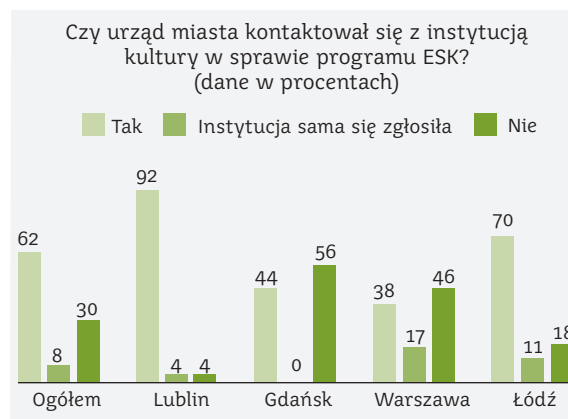
Stolica Śląska, która w swojej aplikacji postawiła na całkowitą konwersję miasta z obszaru industrialnego w *Miasto ogrodów*, zaproponowała najciekawsze projekty z wykorzystaniem mechanizmów partycypacji. Chociażby *Wyjdz na plac* zakłada rewitalizację najbardziej zaniedbanych, przemysłowych dzielnic miasta. Plan rewitalizacji miały stworzyć sami mieszkańcy wspólnie z wolontariuszami, przedstawicielami organizacji pozarządowych i przedsiębiorcami, przy uwzględnieniu możliwości finansowych. Podobnie jest z akcją *Napraw sobie miasto*. W jej ramach mieszkańcy mogą wspólne wyczyścić dworzec z napisów na ścianach albo centrum miasta z nielegalnej reklamy. W ten sposób katowiczanie kształtują w sobie odpowiedzialność za wspólną przestrzeń i aktywnie działają we własnym otoczeniu. Na młodych mieszkańców w aspekcie partycypacyjnym postawiła Łódź. W ramach projektu *Łódź Fresh Up!* możliwe byłoby zrealizowanie kilku mniejszych projektów przez osoby w wieku 15–25 lat na zasadzie minigrantów. Warszawski projekt oparty na idei partycypacji to *Mile kulturalne*, czyli wzorowany na lotniczych program lojalnościowy dla uczestników kultury.

Wszystkie te pomysły zapisane w aplikacjach miały na celu zaangażowanie mieszkańców w tworzenie własnej przestrzeni kulturalnej. A na ile byli oni zaangażowani w tworzenie wniosku aplikacyjnego?

Zamiast zaangażowania lepszym sformułowaniem byłoby w tym kontekście: informowanie. We wszystkich czterech miastach (Gdańsk, Lublin, Łódź, Warszawa), które badaliśmy pod tym kątem, komunikacja odbywała się przede wszystkim w sposób jednostronny – od organizatorów do mieszkańców. Niektóre projekty promocyjne były ciekawsze (np. *Łódź jak magnes*, w ramach którego zaangażowano mieszkańców do promocji Łodzi poprzez przyklejanie magnesów z logotypem ESK 2016), inne mniej, ale wszystkie realizowały swoją funkcję informacyjną. Efektem jest fakt, że o startowaniu w konkursie wiedziały wszystkie osoby, z którymi przeprowadzaliśmy ankiety telefoniczne i badania fokusowe.

Działania konsultacyjne nie były już tak szeroko dostępne dla wszystkich mieszkańców. Przede wszystkim dyskutowano z grupami ekspertów i profesjonalistów działających w miejskim sektorze kultury. Niekiedy inicjatywa takich spotkań wychodziła ze strony władz miejskich, innym razem to środowisko kulturalne skonsolidowało się i stało równym partnerem dla operatora konkursu. Przykładem może być lubelska grupa SPOKO, zawiązana na warsztatach *DNA Miasta* 2009. Na najmniejszą skalę w zakresie przygotowywania aplikacji korzystano z metod partycypacyjnych. Właściwie jedynym środkiem były tzw. banki pomysłów działające w internecie, dzięki którym mieszkańcy mogli proponować swoje koncepcje projektów do zrealizowania w ramach obchodów ESK. Najczęściej nie było jednak jasnych kryteriów oceniania zgłoszonych projektów. Główna zasada selekcji polegała na sprawdzeniu, czy pomysł mieści się w przyjętej wcześniej przez urząd miasta bądź zewnętrznego operatora koncepcji.

Na podstawie ankiet telefonicznych prowadzonych w instytucjach kultury i organizacjach pozarządowych zajmujących się kulturą stwierdziliśmy, że między Gdańskiem i Warszawą a Łodzią i Lublinem istnieje różnica w komunikowaniu się twórców aplikacji z tymi instytucjami. W dwóch pierwszych miastach kontakt ten był zdecydowanie rzadszy.



DNA Miasta: Diagnoza 2010, próba: 99 instytucji kultury

W Gdańsku i Warszawie aktywność organizacji pozarządowych i instytucji kultury w przygotowaniach była znacznie mniej intensywna. Zgłaszały one mniej projektów, również poczucie, że ich propozycje lub opinie zostały uwzględnione w trakcie przygotowań, było mniejsze w przypadku warszawskich i gdańskich rozmówców.



DNA Miasta: Diagnoza 2010, próba: 99 instytucji kultury



DNA Miasta: Diagnoza 2010, próba: 99 instytucji kultury

Większość reprezentantów instytucji kultury, z którymi rozmawialiśmy, identyfikuje się z wizją miasta i propozycją strategii rozwoju kultury do 2016 roku, konstruowaną w ramach przygotowań do konkursu ESK 2016. Zauważyć można jednak pewne różnice między miastami: w Lublinie i Łodzi,

a więc tam, gdzie instytucje są mocniej zaangażowane w przygotowania, identyfikacja jest większa niż w Gdańsku i Warszawie.

W określaniu stopnia i form udziału obywateli w przygotowaniach miasta do startu w konkursie nie poprzestaliśmy na ankietach telefonicznych. Wyniki pokazujące większe zaangażowanie łódzian i lublinian postanowiliśmy sprawdzić, przeprowadzając wywiady z osobami uczestniczącymi w przygotowywaniu kandydatury miasta do konkursu. Pytaliśmy je o formalne i nieformalne mechanizmy zaangażowania. Interesowała nas ich efektywność: chcieliśmy się dowiedzieć, jakie formy udziału są dla mieszkańców atrakcyjne, a także – jak przy udziale ludzi zainteresowanych kulturą opracować program imprez możliwy do zrealizowania w ramach ESK.

Okazuje się, że w badanych miastach starania o tytuł Europejskiej Stolicy Kultury bardzo ożywiły środowisko twórców, a mieszkańcom zależy na sukcesie w konkursie – co do tego zgadzają się respondenci ze wszystkich czterech ośrodków. Konkurs dał miastom motywację do rozwoju instytucji kultury i wspierania inicjatyw oddolnych. Są to wartości, które przetrwają niezależnie od wyniku. W najmniejszym stopniu dotyczy to Warszawy, gdzie życie kulturalne jest intensywniejsze niż w pozostałych miastach kandydackich i tytuł Europejskiej Stolicy Kultury to jedna z wielu szans na zaistnienie w międzynarodowym życiu kulturalnym. Najwięcej o ożywieniu życia kulturalnego mówili respondenci z najmniejszego ośrodka – Lublina.

Można wyróżnić dwie grupy celów, jakie starujący chcą osiągnąć przez udział w konkursie. Po pierwsze, są to cele promocyjno-rozwojowe: zwiększenie rozpoznawalności miasta na mapie kulturalnej Polski i Europy, rozwój kultury jako gałęzi gospodarki, promocja twórców mieszkających w mieście. Druga grupa to cele społeczno-środowiskowe: ożywienie środowiska twórców, zaangażowanie ludności w działania kulturalne. We wszystkich czterech miastach organizatorzy chcą osiągnąć wszystkie te cele, jednak akcenty są rozłożone inaczej. W Warszawie i Gdańsku, gdzie inicjatywa

wyszła od urzędu miasta, cele promocyjno-rozwojowe są najistotniejsze. Od początku przygotowań Gdańska na pierwszym miejscu stawiano potrzebę promowania miasta i stworzenia pozytywnego wizerunku tamtejszych wydarzeń kulturalnych. W Lublinie i Łodzi, gdzie inicjatywa wyszła od organizacji pozarządowych, promocja miasta



Konkurs dał miastom motywację do rozwoju instytucji kultury i wspierania inicjatyw oddolnych. Są to wartości, które przetrwają niezależnie od wyniku.

też jest celem pierwszoplanowym, jednak więcej niż w Warszawie i Gdańsku mówi się o zaangażowaniu społecznym, większe jest także uspołecznienie przygotowań.

Ciekawiło nas również, w jaki sposób w wybranych miastach rozumiane jest kryterium „Miasto i obywatele”. Panowała zgoda co do tego, że „miasto obywateli” oznacza włączenie mieszkańców w aktywność kulturalną. Kryterium realizowane jest przede wszystkim przez konsultacje z mieszkańcami. Respondenci zwracali uwagę na ustawowy obowiązek konsultacji, który sprawia, że z konieczności rośnie ich rola. We wszystkich czterech miastach mówiono o ożywieniu środowisk twórców w ostatnim czasie, a w Łodzi i Lublinie zwracano także uwagę na sporą aktywność mieszkańców podczas starań o ESK. Twierdzono również, że poprzez odpowiednią realizację priorytetu „MiO” można budować więzi społeczne i solidarność między mieszkańcami (Gdańsk), a także sprawić, że przestaną oni wstydić się swojego miasta (Łódź).

Badania fokusowe, które przeprowadziliśmy w Lublinie i Gdańsku, miały zdiagnozować wiedzę i stosunek mieszkańców do starań o tytuł ESK. Badani byli generalnie zadowoleni z faktu, że ich miasto

ma szansę zostać Europejską Stolicą Kultury. Korzyści upatrują jednak w innych rezultatach działań w ramach ESK. Lublinianie wskazywali częściej na korzyści w sferze obywatelskiej. Wymieniali w tym kontekście potencjalną zmianę mentalności mieszkańców, szczególnie studentów, wynikającą z większego zainteresowania kulturą, zmianę podejścia lublinian do swojego miasta, pozbycie się kompleksu prowincji. Naturalnie podkreślano też korzystny wpływ udziału w konkursie na rozwój gospodarczy. Z kolei w Gdańsku rzadko pojawiały się wypowiedzi związane z uspołecznieniem kultury jako efektem starań o ESK. Mieszkańcy ewidentnie upatrują korzyści raczej w europejskim, a nie obywatelskim wymiarze konkursu. Mówią przede wszystkim o wymiernych korzyściach w sferze turystyki, ze względu na zacieśnienie kontaktów międzynarodowych. Po raz kolejny potwierdziły się nasze wstępne ustalenia, że Lublin postawił na priorytet obywatelski, a Gdańsk raczej na europejski wymiar konkursu.

W obu miastach badani zgodzili się, że nie należy oszczędzać na kulturze. Jedna z respondentek stwierdziła nawet, że nakłady na Europejską Stolicę Kultury nie muszą być wyjątkowo wygórowane. „Problemem ESK nie są pieniądze. One są potrzebne na koncert Lady Gagi”. Ważniejsza jest idea, która za nim stoi, a nie rozmach wydarzenia.

Spółród czterech badanych miast do finału przeszły trzy, a jedno – Łódź – się w nim nie znalazło. Jest to interesujące, ponieważ zaangażowanie organizacji pozarządowych w przygotowania było w tym mieście silne, być może silniejsze niż w pozostałych trzech. Taka strategia aplikacyjna okazała się jednak nieskuteczna. Dlaczego tak się stało? Być może pozostałe miasta wykazały się lepszą organizacją, sprawniejszą koordynacją działań i w większym stopniu uwzględniły wiedzę i umiejętności ekspertów z dziedziny zarządzania i marketingu. Może miały też bardziej spójną i przekonującą wizję swojego rozwoju. A w końcu możliwe, że wbrew wypowiedzi respondentki problemem ESK rzeczywiście są pieniądze i bez dobrego biznesplanu „uspołecznianie kultury” nie może dojść do skutku.



Z przeprowadzonych przez nas badań wynika, że istnieje pewne napięcie między dwoma podstawowymi konkursowymi kryteriami – „Miastem i obywatelami” oraz „Wymiarem europejskim”. Priorytet obywatelski ma charakter wewnętrzny, jest zwrócony ku miastu i jego mieszkańcom. W ramach tego priorytetu mieszczą się wszelkie działania nastawione na pogłębianie więzi między mieszkańcami i służące przywróceniu przestrzeni miasta jego



Lublin postawił na priorytet obywatelski, a Gdańsk raczej na europejski wymiar konkursu.

obywatelom. Z kolei priorytet europejski kształtuje wizerunek miasta na zewnątrz. Działania podejmowane na tej ścieżce koncentrują się na redefinicji lub podtrzymaniu dotychczasowej wizji miasta w oczach Europejczyków. W ramach wymiaru europejskiego organizuje się projekty podkreślające miejsce danego miasta w Europie. W sferze idei te dwa komponenty świetnie się uzupełniają, w sferze realizacji i przy ograniczonych środkach finansowych okazuje się, że tylko jeden z nich ma szansę na pełne urzeczywistnienie, a kolejny będzie traktowany drugorzędnie. Miasta chętniej stawiają na europejskość, bo jest ona bardziej spektakularna, widowiskowa i w gruncie rzeczy łatwiejsza do podkreślenia. Masowe wydarzenia kulturalne – koncerty, spektakle operowe, wystawy międzynarodowe – to widać. Projektu sąsiedzkiego polegającego na półrocznym, codziennym zamalowywaniu napisów na kłatkach schodowych jednego osiedla nie dostrzeżę się tak łatwo.

Sama Komisja Europejska pośrednio daje prymat wymiarowi europejskiemu, doprecyzowując kryterium „Miasto i obywatele”, definiując obywatela jako nie tylko mieszkańca danego miasta, ale też całej Europy. Fakt ten nie dziwi, gdyż program Europejskich Stolic Kultury jest programem unijnym i ma służyć przede wszystkim „podkreśleniu bogactwa i zróżnicowania kultur europejskich oraz ich wspólnych cech, jak również wspieraniu szerszych kontaktów między obywatelami europejskimi”*. Być może warto byłoby stworzyć podobny program na poziomie regionalnym, oparty właśnie na zasadzie obywatelskości miasta? Obywatelska Stolica Kultury to idea, nad którą warto się w przyszłości głębiej zastanowić. Do czerwca 2011 roku będziemy natomiast śledzić działania pięciu miast, które pozostały w konkursie, i sprawdzać, w jaki sposób łączą one swoją obywatelskość z europejskością. ◀

Artur **Celiński**

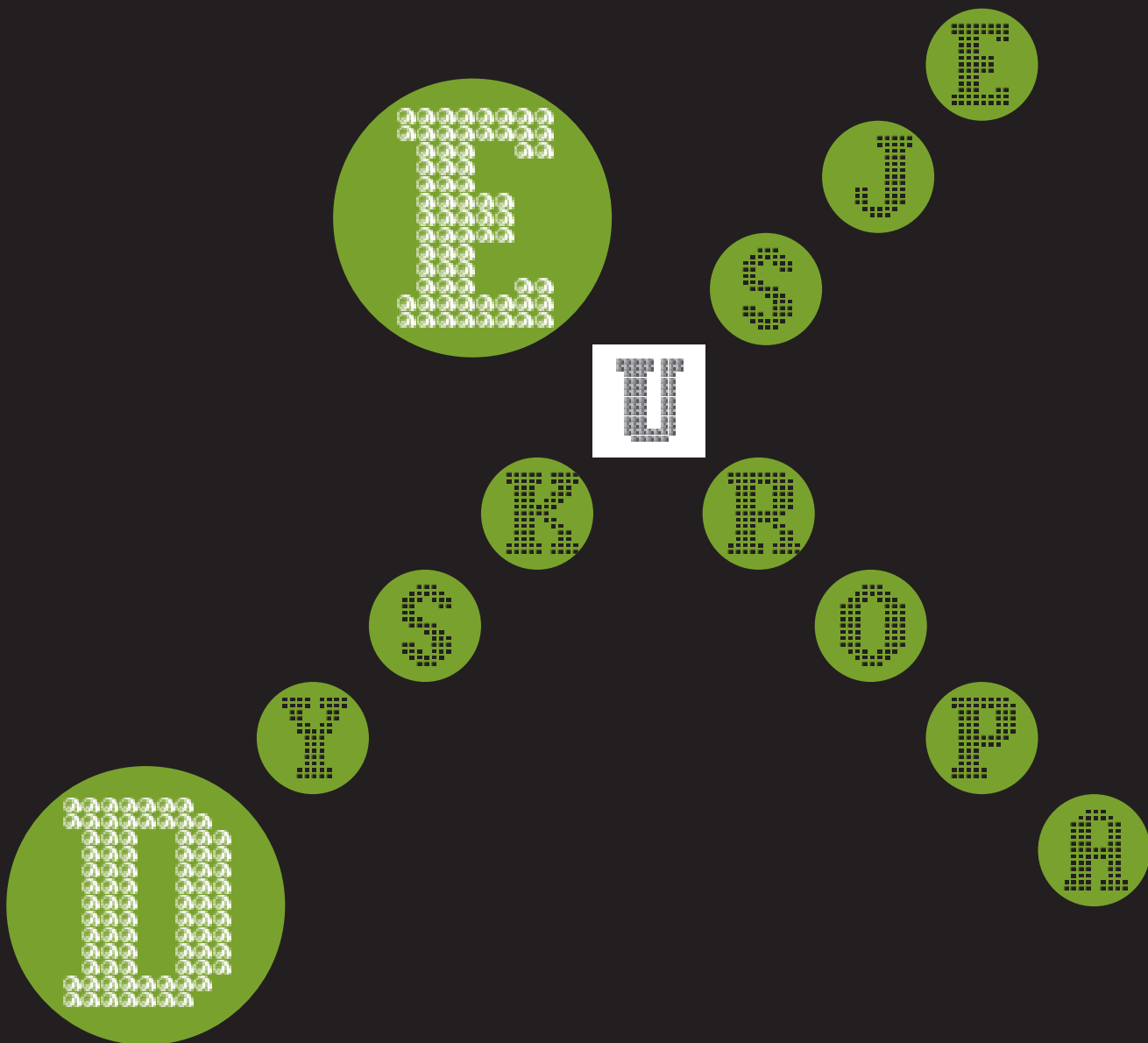
(1985), szef zespołu „DNA Miasta”, zastępca wydawcy „Res Publici Nowej”.

Aleksandra **Niżyńska**

(1986), studentka prawa na UW oraz doktorantka w Instytucie Stosowanych Nauk Społecznych. Członkini zespołu redakcji „Res Publici Nowej”.

Artykuł przygotowany na podstawie raportu DNA Miasta: Diagnoza. Uspołecznianie procesu przygotowań aplikacji konkursowych w konkursie o tytuł Europejskiej Stolicy Kultury 2016 pod redakcją Artura Celińskiego. Dziękujemy wszystkim, którzy przyczynili się do realizacji badań – służyli cenną radą, swoim czasem i energią, aby projekt DNA Miasta: Diagnoza się udał.

* Decyzja 1419/1999/WE Parlamentu Europejskiego i Rady z 25 maja 1999 ustanawiająca działanie Wspólnoty na rzecz Obchodów Europejskiej Stolicy Kultury w latach 2005–2019, Dz. U. L 166, 1.07.1999 [za:] Danuta Glondys, *Europejska Stolica Kultury. Miejsce kultury w Unii Europejskiej*, Wydawnictwo Attyka, Kraków 2010, s. 73.





Thilo Sarrazin, *Niemcy unicestwiają się same* – książka, która nic nie wyjaśnia

THERESE KOSOWSKI

By zrozumieć zawartą już w tytule myśl przewodnią, należy przyjrzeć się bliżej zjawisku imigracji z punktu widzenia socjologii i osadzić ten fenomen w aktualnej sytuacji ludnościowej, kulturowej oraz historycznej Niemiec i innych krajów Zachodu, a także zbadać specyfikę imigracji z krajów muzułmańskich. Temat jest obszerny, ma wiele aspektów; podejmuję tu skromną próbę zwrócenia uwagi polskiego czytelnika na niektóre z nich. Szkolnictwo, a konkretnie niski poziom nauczania w szkołach niemieckich, jest obok integracji ludności napływowej drugim ważnym wątkiem książki.

Swoją publikacją *Niemcy unicestwiają się same*¹ Thilo Sarrazin wywołał burzę. Przede wszystkim w mediach i w świecie polityki. W efekcie musiał ustąpić z wysokiego stanowiska w Bundesbanku, grozi mu też wykluczenie z SPD, do której należy od kilkudziesięciu lat. Nawet dzisiaj jeszcze, prawie pół roku po ukazaniu się książki, miotane są gromy na autora. Celem ataków stał się jednak sam twórca, a nie jego tezy. Argumenty krytyków są często nierzeczowe, co je dyskwalifikuje. Swoistym ukoronowaniem tej „krytyki”, również jej skutkiem, jest wybryk pewnego rapera, obywatela niemieckiego, Palestyńczyka z pochodzenia: ukazało się właśnie wideo z jego nowym utworem: *Pieśń getta 2011*. W tle płonie plakat z konterfektem Sarrazina.

Poważniejsza krytyka dotyczy danych statystycznych przytaczanych przez autora, podważane są one z większym lub mniejszym powodzeniem. Istotne zarzuty, stawiane jednak tylko przez niewielu publicystów, dotyczą jego ryzykownych prognoz na przyszłość i prób tłumaczenia zjawisk społecznych poprzez odwoływanie się do... genetyki, i to w sposób urągający wymogom choćby względnej poprawności naukowej. Krytyka zasadniczo pomija jednak fakt, że w nienaukowy z punktu widzenia socjologii sposób Sarrazin analizuje problemy związane z napływem obcych: obserwując i widząc, nie widzi i nie rozumie tak naprawdę, co się dzieje. Nie nawiązuje do istotnych badań socjologicznych dotyczących integracji ludności napływowej, przeprowadzonych wcześniej. A do tego wszystkiego dochodzi język, który zdradza pogardę, raczej niezamierzoną, dla ludzi, których uczynił przedmiotem swej pseudonaukowej rozprawy.

Na wstępie Sarrazin opisuje historię i przyczyny przyjmowania imigrantów i uciekinierów w państwach zachodniej Europy. Wyłania się obraz ogólnie panującej w tych krajach niechęci do zajmowania się napływającą ludnością i jej sprawami: „niech sobie tu żyją, ale niech nas zostawiają w spokoju”; pomoc finansowa, jeśli musi być – tak, ale autentyczna ciekawość człowieka – nie. Zainteresowanie pojawia się dopiero wraz z konstatacją, że zaistniały problemy i że nie rozwiążą się one same.





Niemcy

unicestwiają się same



THILO SARRAZIN

Szkoły osiągające dobre wyniki nauczania, takie jak np. w Finlandii, prawie natychmiast po skonstatowaniu jakichkolwiek deficytów u uczniów podejmują działania mające na celu niedopuszczenie do ich pogłębiania się i utrwalania. Jeśli u dziecka zauważy się pewną ociężałość kognitywną, natychmiast udziela mu się fachowego wsparcia. Takie działania stanowią obok homogenicznej struktury ludności jedną z przyczyn, dla których w Finlandii – również w Korei – tak niewielkie są grupy uczniów mających znaczne trudności w nauce.

W Niemczech za to już tradycyjnie nie zwalcza się braków w czytaniu, pisaniu i rachowaniu. Niedobory w tych podstawowych umiejętnościach infekują zarówno pozostałą wiedzę szkolną, jak i inne umiejętności. Słabi uczniowie, zniechęceni z powodu znacznych luk, nie nadążają za resztą. Rozwijają się z nich pożałowania godne istoty, które nawet po dziesięciu i więcej latach nauki nie są w stanie osiąść kwalifikacji potrzebnych do nauki jakiegokolwiek zawodu. Po ukończeniu edukacji taka młodzież właściwie nie ma żadnych perspektyw. Z czy bez świadectwa ukończenia szkoły głównej [tzw.

Hauptschule, obejmująca klasy od 5 do 9 lub 10, upoważniająca do nauki zawodu – przyp. tłum.] nie mają oni wielkich szans na zdobycie miejsca do nauki zawodu i w konsekwencji są przepychani przez rozliczne kursy czy szkolenia. Ten system kursów [organizowanych głównie przez biuro pośrednictwa pracy – przyp. tłum.], kosztujących rocznie 2,5 miliarda euro, to właściwie „parking” dla setek tysięcy młodych ludzi, którzy przedwcześnie zakończyli karierę szkolną. Kursy te jednak znakomicie poprawiają statystykę: owi młodzi ludzie, mimo że faktycznie bezrobotni, oficjalnie nie zaliczają się do tej grupy. Rozliczne instytucje próbują co prawda z wielkim zaangażowaniem nieść pomoc tej młodzieży, jednak wydaje się, że to zmarnowany wysiłek. Bo to cały system niedomaga. System, w którym usiłuje się siedemnastolatka nauczyć tego, co zostało zaprzepaszczone u siedmiolatka.

Typową karierę szkolną zakończoną bez powodzenia tak opisuje „Der Spiegel”:

Dennis B. z Hamburga to 24-letni młody człowiek, a już zdążył stracić rozeznanie w swoim życiorysie. Przed dziewięcioma laty ukończył szkołę główną, tyle wiadomo.



Ukraiński dziennikarz rewolucjonista, Anatolij Uljanow rozpoczął nowy projekt. „Promień” jest kontynuacją zamkniętego przez cenzorów czasopisma o sztuce i pornografii „Proza”. Uljanow wraz ze swą towarzyszką broni fotografią Natalią Maszarową od 14 miesięcy podróżuje po Europie. Koczowniczy tryb życia nie przeszkodził im w realizowaniu projektu. Porozmawialiśmy z dziennikarzem o nowym pomysśle, Białorusi, tchórzliwym głównie i kształtowaniu przyszłości.

Fot. Natalia Maszarowa
(www.masharik.com)

Hatifnaty i porno

Tam, gdzie mieszkają potwory

Z Anatolijem Uljanowem rozmawia Anton Kaszlikow

Anatolij **Uljanow**

Czym się różni „Promień” od „Prozy”?

Anton **Kaszlikow**

„Promień” zaczyna się w miejscu, w którym „Proza” została zamknięta przez cenzurę. W wielu aspektach jest do niej symetryczny. To ewolucyjne przepoczwarczenie „Prozy”. Informacyjny sprzeciw wobec regresu jest kontynuowany, ale na innym, bardziej progresywnym technicznie i estetycznie poziomie. „Promień” to już nie tylko artystyczny projekt medialny, ale także autonomiczna technologia rozprzestrzeniania alternatywnych sensów, pole dla socjalnej krytyki i walki z konserwatywnymi energiami. Oprócz tego „Promień” kładzie nacisk na najważniejszy aspekt naszych czasów – Technologię. Nie w znaczeniu tych czy innych produktów konsumpcji – urządzeń i gadżetów – lecz w sensie czynnika określającego dynamikę egzystencji człowieka. Informacja i technologia wpływają na dzisiejszy dzień bardziej niż liczba ofiar w Iraku czy socjalna rewolucja w Grecji. Informacja i technologia decydują, jak funkcjonuje i będzie funkcjonowała nasza świadomość. Dlatego „Promień” zwraca szczególną uwagę na utopijne przepoczwarczenie, nowe technologie, transhumanizm i w ogóle na przyszłość.



Fot. Natalia Maszarowa (www.masharik.com)



PARTNERSTWO
WOLNEGO
SŁOWA

*Artykuł ukazuje się w ramach programu Partnerstwo Wolnego Słowa.
Projekt jest finansowany w ramach programu Polsko-Amerykańskiej
Fundacji Wolności w Regionie – RITA, realizowanego przez
Fundację Edukacja dla Demokracji.*



*34 Multimedia Magazine (www.34mag.net) to białoruski,
undergroundowy, popkulturowy projekt multimedialny:
witryna internetowa i pismo wydawane na CD – dostępne
online. Zmiana formatu z wersji papierowej,
wydawanej do początku lat dziewięćdziesiątych,
spowodowana była szykanami KGB
– propaganda rozpowszechniła informację
o stosowaniu rzekomo toksycznego druku. Byli tacy,
co uwierzyli i zwracali tytuł do kiosków.*

*Ostatni numer 34 Multimedia Magazine „WAWA WOW”
jest w całości poświęcony kulturze miejskiej w Warszawie,
powstał przy współpracy „Res Publiki Nowej” i Screenagers.pl.*

*Projekt jest współfinansowany przez Ministra Spraw Zagranicznych Rzeczypospolitej Polskiej
w ramach cyklicznego programu Promocja wiedzy o Polsce 2010.*

FOR THE
FUTURE

Emigracja i Europa

Z Pierre'em Manent
rozmawia
Ariadna Lewańska

Ariadna Lewańska

(1972), uczy filozofii
w Instytucie Badań
Interdyscyplinarnych „Artes
Liberales” Uniwersytetu
Warszawskiego.

Pierre Manent

(1949), filozof polityki,
historyk idei, profesor
w École des hautes études
en sciences sociales
w Paryżu. W minionym roku
opublikował książkę
*Les métamorphoses
de la cité*.

Dwa miliony Polaków wyemigrowało od roku 2004, spodziewamy się kolejnej fali po otwarciu rynków pracy w Niemczech i Austrii. W jakiej mierze Pana zdaniem zagadnienie emigracji pozwala nam pogłębić refleksję nad przynależnością do narodu i do Wspólnoty Europejskiej?

To kwestia bardzo złożona i trudna w ocenie, gdyż od zawsze mieliśmy wiele do czynienia z migracjami pośród narodów Wspólnoty Europejskiej. Dość powiedzieć o Polakach, którzy w XX wieku przybyli do Europy północnej, Włochach, którzy osiedlili się na południu Francji, czy Hiszpanach, którzy uciekali po wojnie domowej. Wśród imigrantów we Francji widać jednak bardzo wyraźną różnicę: jedni stali się po prostu Francuzami, jak na przykład Polacy mieszkający na północy naszego kraju czy Włosi na południu od XIX wieku albo część Hiszpanów. Natomiast fenomen pewnej liczby Portugalczków przypomina to, co dzieje się obecnie z Polakami w Wielkiej Brytanii. Bo choć Portugalczycy czują się dziś we Francji zupełnie swobodnie, to jednak zachowują bardzo silny i żywy kontakt ze swoim krajem. Są doskonale zdomowieni we Francji, a jednak nadal pozostają Portugalczkami. Z punktu widzenia doświadczeń francuskich to przykład doskonałej integracji, ale bez asymilacji, bez przekształcenia się we Francuzów. Oczywiście są wyjątki, ale integracja imigracji portugalskiej we Francji może być moim zdaniem wzorcowym modelem dla najlepszej możliwej konstrukcji Europy. W tym sensie, że nie przekracza się granic narodu, ale w miarę jak wielu obywateli jednego narodu przybywa żyć pośród innego narodu europejskiego, zachowuje się silną, istotną więź z własnym narodem i krajem. To buduje Wspólnotę Europejską w ścisłym znaczeniu tego słowa.

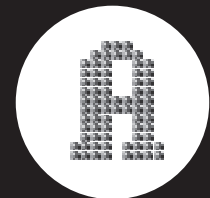
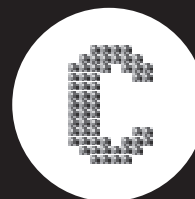
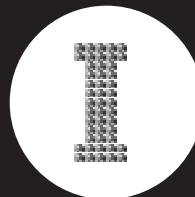
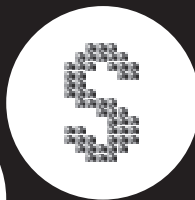
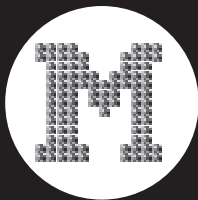
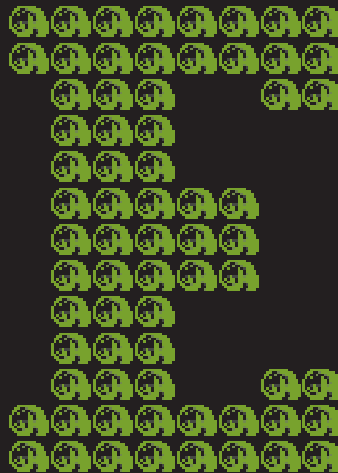
Ariadna Lewańska

Uważa więc Pan emigrację za zjawisko pożyteczne i pozytywne?

Pierre Manent

W tym względzie na pewno. Jest to zjawisko ogromnie pozytywne, wręcz konieczne dla tworzenia wspólnego europejskiego życia. Ale oczywiście z punktu widzenia kraju, który traci obywateli, wygląda to inaczej. Dlatego każdy przypadek trzeba rozważać odrębnie, bo przynosi i korzyści, i straty. Kto był





Krawężnik fon

MARCIN ZALEWSKI

Lotnisko jest uważane za miejsce, w którym zderza się najwięcej paradoksów przestrzeni publicznej: olbrzymie, kosmopolityczne i skrajnie wyalienowane z kontekstu otaczającej je rzeczywistości. Billboardy zachłannie zajmujące płaszczyzny ścian, a pod nimi intymne rozmowy na walizkach. Spotkania, oczekiwania, czasem jakiś *flash mob*, szum wentylacji i samolotowych turbin – pole do popisu i dla badającego komunikację antropologa, i dla poszukującego funkcjonalności architekta. W 1978 roku Brian Eno, słynny już wtedy twórca rocka i producent muzyczny, badał przestrzeń portu lotniczego z zupełnie innej perspektywy. Jego solowy album *Ambient 1. Music For Airports* jest audialną analizą miejsca bez zbiorowości, percepcji jednostek skoncentrowanych na szeleście biletów w kieszeniach; manifestem sonicznego tła, kontynuacją międzywojennej koncepcji muzyki-mebla Erica Satie, gdzie dźwięki dochodzą zewsząd, w zasadzie znikąd, a konkretnie to jest cicho.

Już od momentu zaistnienia przestrzeni, którą można by nazwać publiczną, ludzie spierali się, jakie jest w niej miejsce na strefę interakcji słuchowych: od linczów na średniowiecznych bardach, przez radio wołające na całą ulicę do tańca głosem Mieczysława Fogga, po podgląd miejskiej starówki

MIGRANTKA ZE SŁOWNIKIEM SYNONIMÓW



Agnieszka Nowak, Vala Þórsdóttir,
Pankaganga/Myśl obieg, przełożyła
i zilustrowała Agnieszka Nowak
(Agnieszka Nowak & Vala Þórsdóttir 2010)

PIOTR STERCZEWSKI

„Súsanna Sc... Shjsh... Sjszzzbrt-sisska... Pan Wychowawca próbował wymówić moje nazwisko: Szczębrzeszyńska”. Już pierwsze zdanie polsko-islandzkiej książki dla dzieci *Pankaganga/Myśl obieg* zapoznaje nas z kulturowymi i tożsamościowymi problemami dziesięcioletniej bohaterki Súsanny: dziewczynka sepleni (nie potrafi wymówić „s”), więc nie może poprawnie przedstawić się swoim islandzkim imieniem, z kolei jej polskie nazwisko jest niewymawialne dla Islandczyków.

Książką rządzią podwójności. Polska i islandzka wersja językowa znajdują się na sąsiadujących

ze sobą stronach; autorki są dwie – Vala Þórsdóttir (tekst) i Agnieszka Nowak (ilustracje, opracowanie graficzne, polskie tłumaczenie); ilustracje (znakomite zresztą) zajmują tyle samo miejsca co sam tekst. Wreszcie, podwójność jest głównym tematem opowieści – Súsanna to dwujęzyczna młoda emigrantka, córka polsko-islandzkiego małżeństwa, które z Gdańska przeprowadziło się do Reykjavíku. Bystra, pomysłowa i sympatyczna bohaterka, jak przystało na porządną opowieść dla dzieci, szuka swojego miejsca w częściowo obcym środowisku, próbuje ukrywać seplenienie poprzez unikanie słów z „s” (przedstawia się jako Birgitta Bragadóttir), znosi złośliwości koleżanki z klasy – Dagný, a także pełni funkcję językowej i kulturowej tłumaczki dla swoich polskich dziadków, którzy do islandzkiej rzeczywistości przystosowani są gorzej niż ona.

Książka, wydana w Reykjavíku w listopadzie 2010 roku, według informacji zamieszczonej na jej stronie na Facebooku „jest pierwszym etapem projektu obejmującego wszystkie grupy emigracyjne zamieszkujące Islandię. Celem projektu jest otwarcie publicznej dyskusji o wielokulturowości na Islandii, przybliżenie codzienności

emigrantów Islandczykom, podkreślenie ważności i unikalności każdej z grup emigracyjnych”. Fakt, że bohaterka tej pionierskiej książeczki pochodzi akurat z Polski, to nie przypadek – Polacy są największą mniejszością narodową na Islandii, zauważalnie obciążoną stereotypami i uprzedzeniami¹. Książka Vali Þórsdóttir i Agnieszki Nowak z pewnością pomaga w złagodzeniu obrazu Polaków i przybliżeniu ich kultury, szczególnie że opowieść jest dowcipna, bardzo zgrabnie napisana i starannie opracowana. Jednak zamiast rozwodzić się nad (wysoką) wartością estetyczną *Pankagangi/Myśl obieg*, warto przyrzeć się temu, w jaki sposób historia ta przedstawia sytuację Polaków na Islandii i co mówi, niekoniecznie wprost, o obu kulturach oraz ich kontaktach.

Uczynienie z wady wymowy głównego zmartwienia Súsanny stanowi zmyślny zabieg autorek: najwyraźniejszym wskaźnikiem inności dziewczynki – zamiast narodowości – jest wada, która mogłaby cechować każde dziecko w dowolnym miejscu na świecie. Owo seplenienie można jednak potraktować jako sygnał wszystkich możliwych problemów językowych, jakim bohaterka musi stawić czoła w obu językach – po islandzku ciągle stara się szukać synonimów (dlatego też nie rusza się z domu bez słownika), by omijać kłopotliwe „s” (co udziwnia jej wypowiedzi), po polsku z kolei nie zawsze może dogadać się z babcią. Inność ujawnia się jednak nie tylko w języku. Członkowie trzypokoleniowej

rodziny Súsanny miesają międzykulturowe problemy w przeróżnych sytuacjach: dziadek wznicią pożar domu, bo nie może się przyzwyczaić do kuchenki elektrycznej zamiast gazowej; kupowanie przez rodzinę krowich żołądków na flaki jest przyczyną kpín Islandczyków i dopiero wytknięcie im, że sami jedzą baranie jądra,



Rys. Agnieszka Nowak (www.akarasu.com)

łagodzi nieco sytuację (do smaku dodam jeszcze, że wśród tradycyjnych islandzkich potraw znajdują się też zgniły rekin i owcza głowa). Z kolei gdy tata dziewczynki spotkał lokalnych wędkarzy, ci „rozmawiali z nim po angielsku, mimo że sami byli Islandczykami. Tata poddał się, przestał odpowiadać po islandzku i zaczął dukać po angielsku” – przełączanie się na angielski to dość częsty u dumnych ze swojego języka Islandczyków zabieg wykluczający.

Postać Súsanny została skonstruowana zgodnie ze sprawdzoną logiką opowieści dla dzieci:

jest trochę inna od rówieśników, pochodzi z nieco biedniejszej rodziny, ale braki rekompensuje sobie pomysłowością i dobroduszością. Zabiegi te oczywiście sprawiają, że łatwiej z nią sympatyzować i przy okazji służą deklarowaniu przez autorki zadaniu przybliżenia kultury grupy emigrancskiej. Książka dla dzieci to jednak opowieść uproszczona i operująca stereotypami, które *Pankaganga/Myślobieg* przy wszystkich swoich szlachetnych założeniach utrwała. Polacy na tle Islandczyków wyróżniają się tu uczynnością, gościnnnością, kreatywnością, zmysłem praktycznym. Lepiej też opiekują się dziećmi. Bohaterka i jej rodzina na każdym kroku okazują swoje dobre serce: ratują (a później wypuszczają) wyrzucone przez islandzkich wędkarzy pstrągi, zapraszają bezdomnego na sąsiedzkiego grilla, polska babcia uczy Súsannę „śpiewać, szanować przyrodę i zawsze mówić prawdę”. Na urodziny kolegi z klasy Súsanna i jej przyjaciel Pétur przygotowują własnoręcznie zrobione piłki i zdobywają tym uznanie innych dzieci i samego jubilata, który dostał „stertę takich samych samochodów”, bo „była przecena w Tągerze” [popularnej islandzkiej sieci sklepów z drobiazgami – P.S.]. Dziewczynka zdradza też przywiązanie do naturalności: „dotknęłam obrusa i zorientowałam się, że będę musiała uważać, żeby nie dotykać go,

jedząc. Dostaję gęziej skórki, kiedy czuję taki sztuczny papier”.

Islandczycy zostali w książce przedstawieni zdecydowanie mniej życzliwie: są na ogół bogatsi, materialistyczni, oziębli emocjonalnie, nieufni wobec obcych – jak mama znalezionej na placu zabaw zapłakanej dziewczynki, która odrzuca ofertę pomocy w opiece nad dzieckiem. Na szczęście autorki umiejętnie unikają pułapki jednostronności i portretują także pozytywne postaci Islandczyków: należą do nich cioteczny brat i przyjaciel Súsanny – Pétur, sympatyczny logopeda albo Pan Parkometrownik (przy czym ten ostatni jest pewnego rodzaju wyrzutkiem – wykonuje nie lubiany zawód, bo z powodu okaleczenia musiał zrezygnować z gry na gitarze). Stereotypów i uproszczeń nie udało się uniknąć, ale wydają się rozsądną ceną za popularyzację pozytywnego obrazu Polaków oraz umożliwienie



Rys. Agnieszka Nowak (www.akarasu.com)

najbezpieczniejszą stolicą świata, raczej nie o samoobronę tu chodzi. Autorki *Bankagangi/Myślobiegu* zdają się mówić: przed Súsanną jeszcze sporo walki o swoją pozycję, ale nie bójcie się, ona sobie poradzi.

Tak jak w ostatnim zdaniu książki, „trzymam kciuki” za wszystkie islandzkie Súsanny różnych narodowości. Myślę, że Vala Þórsdóttir i Agnieszka Nowak wyświadczyły im swoją książką dużą przysługę. ◀

Piotr **Sterczewski**

(1988), student MISH UJ
(kierunek wiodący: polonistyka).

Dzięki programowi Erasmus spędził semestr zimowy 2010 roku na wymianie na Uniwersytecie Islandzkim w Reykjavíku.

Za konsultacje w kwestiach związanych z językiem islandzkim dziękuję Ólafurowi Patrickowi Ólafssonowi.

JĘZYKI NIEZALEŻNOŚCI



Józef Tischner, *Etyka Solidarności*
oraz *Homo Sovieticus* (Znak 2005)



Izabela Filipiak, *Absolutna amnezja*
(Dom Wydawniczy Tchu 2006)



Edward Redliński,
Krfotok
(Prószyński i S-ka 2010)

PRZEMYSŁAW CZAPLIŃSKI

Jak jest artykułowana w literaturze niepodległość odzyskana przez Polskę w roku 1989? Bardzo chciałbym przestać na takim pytaniu wyjściowym i stwierdzić, że zamierzam zrekonstruować – zawarte w prozie – poglądy na temat przejścia od PRL-u do III Rzeczypospolitej. Chciałbym, ale nie mogę, ponieważ proza to uniemożliwia; nawet spod najbardziej ogólnego pytania zawsze wyłazi jakaś nieforemna opowieść, która mówi, na przykład, że niepodległość „zyskaliśmy”, nie zaś „odzyskaliśmy”, a taka darowana niepodległość, taka wolność za

darmo, bez walk i ofiar, nie tworzy świadomości zbiorowej i w rezultacie obraca się w nowe zniewolenie; albo że w roku 1989 niepodległość znowu straciliśmy – na przykład na rzecz Brukseli; albo że w roku

1 Na przykład w styczniu tego roku prokurator w głośnym procesie w sprawie napaści na islandzki parlament porównała oskarżonych do „polskiego gangu” (co spotkało się z protestami, ale świadczy o istnieniu negatywnego stereotypu). Dostępny w internecie: www.grapevine.is/News/ReadArticle/RVK-9-Trial-Polish-Consul-Demands-Apology [dostęp: 30.01.2011].



WYPĘDZENIE

Gerty Schnirch

Fragmenty

KATEŘINA TUČKOVÁ

(Część II) XXIII

Duma. To właśnie jej zostały pozbawione w czasie ostatnich miesięcy. Pełzały po polu, harowały, ktoś im rozkazywał, były wdzięczne za kawałek żarcia, wieczorem nie rozmawiały o niczym innym, tylko o kolejnym dniu pracy. Zidiociały. Gdzieś zapodziało się ich życie, radości, pragnienia, przyjemności, potrzeby. Wszystko zniknęło. Została codzienność ograniczona do najprostszych wymiarów: co będą robić i co jeść. Jak długo tak można? Ile jeszcze razy padną te pytania? O przyszłości już żadna nie wspominała. Na początku często słuchała, jak mówiły o tym, jak to będzie, jak już wrócą do Brna, kiedy stąd odejdą, kiedy się to wszystko skończy. A teraz o czym rozmawiają? O zbiorce ziemniaków i buraków, o tym, że lepiej uklęknąć na złożonym na pół worku niż się pochylać, bo od tego bolą plecy, o tym, ile rzędków która dzisiaj obrobiła i jakie mamy szczęście, że jesteśmy u Šenka, a nie u Krupy, gdzie rozdają razy, kiedy się nie zbierze wystarczającej ilości. Czasem nie słuchała w ogóle, bo mówiły po czesku, którego nie rozumiała ani ona, ani Dorla.

Gdzie schowały swoją dumę i czemu zrezygnowały z własnego życia? Jak mogą cieszyć się z tego, że przeżyły dzień bez kopniaka, a wieczorem dostaną po trzy gorące ziemniaki lub trochę *Eintopfu*? Jak mogły pogodzić się z taką namiastką egzystencji?

Ula już dalej nie mogła. Każdy dzień ciążył jak kula na żelaznym łańcuchu, których miała zawieszonych na nogach, nadgarstkach i szyi dziesiątki; każdego dnia dochodziła kolejna, której waga przyginała kark coraz niżej do ziemi i sprawiała, że wzrok nasyczał się widokiem brudnej, brązowej gliny. Wiele razy mówiła sobie, że lepiej byłoby leżeć pod tą ziemią, pozbawiona zmartwień, obaw o przyszłość,

strachu o Adolfa i Adiego. Kiedy pracowała z Gertą w kuchni przy porcjowaniu mięsa, setki razy chciała skierować nóż w swoją stronę. Nie mogła spuścić z niego wzroku, fascynował ją jego czubek i cienkie, ostre krawędzie, które z łatwością przeszyłyby powłoki brzucha. Uwolniłoby ją to od wspomnień, odcieło od tego śmierdzącego, brudnego ciała, które wtargnęło w nią na polu za Perną, aż dziw, że nie wykręcił jej ręk, trzymał z taką siłą. A te kopniaki, one były najgorsze. Długie, ostre ostrze ucięłoby nagle wszystko: bezsenne noce, dławiącą z poniżenia wściekłość, mętlik w głowie, którego nie mogła się pozbyć, ciskanie się między zapomnieniem a chęcią zemsty. Przestałaby nienawidzić swojego ciała, już by go nie było. Ale byłaby Dorla, opuszczona Dorla, sama między obcymi ludźmi w kraju, który nie był już jej. Zostałaby sama, prawie jedenastoletnia, i może skończyłaby jak ona, Ula. Takich przypadków podczas nocy, między Brnem a Perną widziała wystarczająco dużo. Zostaliby też Adolf i Adi, którzy kiedyś zostaną wypuszczeni z Brna i będą potem ich szukać tutaj lub za granicą. Co powiedziałby jej Adolf, gdyby odkrył, że się poddała i zostawiła Dorlę samą na świecie? Przeklinałby ją. Nigdy by tego nie zrozumiał. [...]

Wszystko skończyło się w momencie, kiedy w kuchni przy porcjowaniu prosiaka postanowiła nie obracać noża w swoją stronę. Nastął kres jej niewolnictwa, czekania i dziękowania za to, że w ogóle żyje. Właśnie wtedy zdecydowała i czuła pewność, której dawno już nie doświadczyła. Postanowiła z Dorlą jak najszybciej odejść. Z ziemi, w której, cokolwiek Adolf o tym myśli, nie ma już dla nich przyszłości. Z kraju, w którym nie mają żadnych praw, żadnego majątku. Nie znają języka. Jeśli w ogóle coś im tutaj zostanie, Adolf to później odzyska, przecież jest zdolnym adwokatem. Ze wspomnieniami, z którymi wiąże się to miejsce, ona, Ula, już nie potrafiła żyć. Państwo, które przez lata błogosławili, wszystko im zabrało i o mało nie doprowadziło do tego, że podniosła na siebie rękę. Musi stąd odejść, za granicę, do Austrii lub do krewnych do Ragensburga, tam poczeka na Adolfa i Adiego, tutaj już nie może zostać. [...]

(Część III) XXIII

[...] W ogóle nie przypuszczaliśmy, jakie to wszystko będzie straszne, w październiku po zakończeniu wojny. A wszędzie na miejscu będą ludzie w jeszcze gorszej sytuacji niż nasza. I że ani dla nich, ani dla nas nie będzie miejsca. Wiecie, co nam mówili po drodze? Przeklinali nas, że jesteśmy debilami, Cyganami i mamy to, na co sobie zasłużyliśmy, że to wszystko przez nas, przez ten nienasycony *Heim ins Reich*. I wrzeszczeli na nas, „wy nazistowskie świni!” Nawet któregoś dnia, kiedy właśnie pomagałyśmy wynosić gruz z piwnicy w Mistelbachu, pojawił się ktoś z kamerą i odznaką Czerwonego Krzyża, a kiedy spytałam go, co kręci, odpowiedział, że robi dokument o tym, jak żony nazistów odpracowują swoje winy. Nie potraficie sobie wyobrazić, co wtedy czułam. W wyśnionym kraju, który wybrałam na swój nowy dom... To Ula podtrzymała mnie wtedy na duchu, gdyby jej nie było, pewnie bym wróciła. Albo coś sobie zrobiła, jak wielu innych, wszędzie wokół była śmierć. Jeśli miałam do wyboru być nazistowską świnią między wami w domu, u Zipflovej, gdzie było jedzenie i nocleg, lub sama gdzieś w obcej ziemi, wybrałabym to pierwsze. Gdyby nie było Uli. „Czego się spodziewałaś?”. Pytała. Niczego. Po prostu niczego sobie nie wyobrażałam, jedynie myślałam, że w Austrii będzie lepiej. Musiałyśmy jednak na to jeszcze poczekać i to mi też Ula mówiła. Dziewczyny, Ula była niesamowicie odważna.

Teresa zamilkła.

– W Mistelbachu – kontynuowała po chwili – na wzniesieniu stał klasztor, bardzo zniszczony podczas wojny. Był w nim wielki szpital. Kiedy tam przyszłyśmy, pękał w szwach. Nie mieli nas gdzie położyć. Mówili, że już im ręce opadają, ludzie każdego dnia umierali, chorzy leżeli wszędzie, na korytarzach, w strasznym stanie, w pokojach, w których wstawiono dodatkowe łóżka, na ziemi, w piwnicy, którą ciągle porządkowali, bo była zasypana gruzem, a oni miotali się w tym bałaganie między siennikami i chorymi leżącymi na ziemi. Było strasznie. Płakałam z rozczarowania, nie mogłam przestać.





Kto się boi **Samanthy Kitsch**?

JOANNA MUELLER

Poszukując informacji na temat ukrywającej się pod przewrotnym pseudonimem poetki, natknijmy się jedynie na suche fakty, które – podane z kronikarskiego obowiązku – zdecydowanie nie uchylą rąbka tajemnicy. Według owych faktów Samantha Kitsch jest autorką trzech tomików wierszy: *Bahama* (Obserwator 1996), *25 wierszy* (Mamiko 2006) i *Helena* (Instytut Mikołowski 2009); publikowała m.in. w pismach: „Odra”, „Kresy”, „Twórczość”, „Czas Kultury”, „Studium”, „Zeszyty Literackie”, „Kwartalnik Artystyczny”, „FA-art”. Dalszy rekonesans w internecie naprowadza nas jeszcze na informację (nie wiadomo, na ile rzetelną), że osoba kryjąca się pod tym barwnym pseudonimem urodziła się w 1956 roku w Poznaniu, studiowała na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu i mieszka w Nowym Jorku z mężem i córką. Inne doniesienia są już z dziedziny „plotka i sensacja” – ktoś uważa, że Samantha Kitsch to „drugie ja” poetki X, ktoś inny próbuje udowodnić, że to pseudonim męża poetki Y, w tajemnicy przed żoną również piszącego wiersze. Osoba, której tekstowy żywot rozpoczął się od książkowego debiutu w połowie lat 90., wciąż jest obiektem detektywistycznych wręcz domniemań; ciągle też – dzięki żelaznej konsekwencji, z jaką odmawia wywiadów, zamieszczania zdjęć czy poszerzania swoich notek o (choćby sfinansowane) szczegóły biograficzne – nie daje się przylapać ciekawskim czytelnikom na gorącym uczynku empirii.

Samantha Kitsch to konstrukcja tekstowa pozbawiona powiązań z empiryczną rzeczywistością. Ten zmyślony podmiot łatwo staje się przedmiotem interpretacyjnych pożądań, poczynwszy od pseudonimu, który nieprzypadkowo odnosi się do imienia Samantha Fox, niezwykle popularnej na przełomie lat 80. i 90. śpiewającej seksbomby. Podobnie jak jej ponętą imienniczkę będącą ucieleśnieniem marzeń dojrzewających chłopców, którzy masowo wieszali jej plaka-

ty nad łózkami i śnili o niej mokre sny, tak Samanthę Kitsch można uznać za wcielenie marzeń nadwiślańskich poststrukturalistów, którzy – spóźnieni o dwie dekady – zaczęli w wolnej Polsce po 1989 roku śnić barthesowski sen o śmierci autora. Być może właśnie słynny tekst Rolanda Barthes’a z 1968 roku tak wpłynął na empiryczną autorkę (lub autora, bo i tego nie możemy wykluczyć), że zdecydowała się zadebiutować pod prowokacyjnym pseudonimem w momencie, gdy w Polsce literaci postępowali odwrotnie – dekonspirowali się, zrzucając tym samym gestem opozycyjne pseudonimy i płaszcze Konrada. Nie pisałabym jednak dzisiaj o tej decyzji, gdyby nie poszły za nią lata konsekwencji – trzy ważne tomy poetyckie weszły do historii literatury jako dzieło „współczesnego skryptora” (a raczej „skryptorki”), czyli kogoś, kto wedle Barthes’a nie ma nic wspólnego z empirycznym autorem, gdyż rodzi się wraz ze swym tekstem, a zatem przed rozpoczęciem pisania, i po jego zakończeniu po prostu nie istnieje.

Ryszard Nycz w książce *Literatura jako trop rzeczywistości* opisuje dwie drogi, którymi według niego podąża podmiot nowoczesnej polskiej prozy i poezji – drogę zadomowienia (wyznaczoną przez Czesława Miłosza) i drogę obcości (której patronuje Witold Gombrowicz). Podmiot kierujący się Gombrowiczowskim przykazaniem: „Bądź zawsze obcy!” odrzuca wszelkie role społeczne, z którymi mógłby się łatwo utożsamić, i wszystkie rozpoznawalne maski (gęby), jakie chcą narzucić mu inni. Gra o autentyczność rozpoczyna się w jego przypadku w momencie wyzerowania, odarcia z masek, osiągnięcia stanu czystej anonimowości.

Wspominam o tym rozróżnieniu dlatego, że mało który podmiot współczesnej poezji ucieleśnia Gombrowiczowskiego obcego tak doskonale, jak Samantha Kitsch. W wierszu *Nikim* z tomu *25 wierszy* sytuacja „wyzucia z masek” zostaje pokazana niemal dosłownie. Tekst napisany jest w pierwszej osobie liczby

pojedynczej i w rodzaju męskim. To znaczący fakt, ponieważ charakterystyczną cechą twórczości Kitsch stanowi ciągła zmiana ról – kolejne wiersze, a nawet sąsiadujące ze sobą strofy, są pisane raz z perspektywy mężczyzny, raz kobiety. Sytuacja w *Nikim* tylko pozornie jednak jest prosta. Podmiot mówi: „ja”, ale definiuje się przez zaprzeczenie – „nie jestem staruszką, nie jestem nastolatką, nie jestem pletwonurkiem” i (powtórzone kilkakrotnie) „jestem nikim”. Ćwiczenie się w obcości osiąga apogeum w puencie wiersza: „Moi znajomi poszli do muzeum – ja wołałem się unicestwić, / teraz nie umiem trafić na miejsce spotkania”.

Unicestwienie dokonane przez podmiot mówiący w wierszu jest analogiczne do tego, któremu poddała się osoba ukryta za pseudonimem Samantha Kitsch. Jednak gra w tożsamość – jak uczy Gombrowicz – nie kończy się aktem wyzerowania, ale wraz z nim się dopiero zaczyna. Nagrodą za anonimowość okazuje się radosna żonglerka autoprojekcjami. W trzech niewielkich książeczkach znajdujemy bogactwo proteuszowych kształtów. Mówią do nas na równych prawach m.in.: 12-letnia dziewczynka snująca na basenie erotyczne fantazje o trenerze; rozbudzony erotycznie podłotek; „nieważki, niematerialny” i ponadczasowy mężczyzna popełniający wielokrotne samobójstwa w Kanionie Montezuma oraz krążąca po tym samym kanionie kobieta cierpiąca na bezsensowność, zamieniająca się nagle w „srebrnopiórego ptaka”; wędrująca we śnie dziewczyna, która ciągnie za sobą „słońce jak balon” (Samantha Kitsch – zgodnie ze swoim nazwiskiem – nie obawia się kiczu podobnych porównań); rozleniwiona osóbką pretensjonalnie oznajmiająca: „mam godzinę czasu / będę ją jadła / jak bitą śmietanę”; matka zmęczona tak bardzo, że nie ma siły posprzątać dziecięcych zabawek; mieszkający na dziesiątym piętrze poeta delektujący się na balkonie samotnością, czystą kartką, wolnym czasem i pyszną kawą oraz zamieszkująca ten sam wysokościowy azyl poetka, która również celebrowała swój balkon z rytualną kawą i papierosem, z kotem na kolanach i wierszem do napisania.

Kitsch – jak pokazują choćby wymienione wcielenia – swobodnie oscyluje między skrajnościami: z mieszkalnego azylu wyniesionego na szczyt

wysokościowca przenosi nas w rozległe przestrzenie kanionu lub lodowca, rozważania filozoficzne przesysa słodko-mdłą metaforą rodem z pensjonarskich pamiętników, a ostrość męskiego spojrzenia kwituje bezbronną dziewczęcą emocjonalnością. Paradoksalnie jednak te wszystkie nieprzystawalne do siebie obrazy, nastroje, kolory, przestrzenie, punkty widzenia i osobowości składają się na bardzo spójny charakter pisma Samantha Kitsch, który trudno pomylić z jakimkolwiek innym. Można to piarstwo nazwać postmodernistycznym, skoro jest tak czystym potwierdzeniem tezy o śmierci empirycznego autora. Można – ze względu na częste tutaj przebieganki płciowe – czytać je w duchu genderowym. Można też w przerysowanych, kiczowatych autokreacjach Samantha Kitsch widzieć najciekawszy chyba (poza poezją Ewy Sonnenberg) przypadek polskiej poezji kempowej. Można – ale bez obaw: ta mistrzyni „obcowania” od każdej próby utożsamienia zapewne po swojemu ucieknie. Dokładnie tak, jak to czyni w swoim portrecie – *Jego portrecie*:

To kwestia surowej samodyscypliny i szczodrej automanipulacji. Z pobłażaniem dla własnej egzaltacji, to jego kaprys i niezłomna zasada. (...) Zdezorientowany pozwala trwać dezorientacji, byle nie wpaść w stan katatoniczny. Prędko, *pocałuj sufit, fiknij koziołka, wywin się* –.

Zamiast tę poezję spętać utożsamieniem – wolę się jej obawiać, poddawać się jej automanipulacjom, trwać w dezorientacji. Zapraszam do lektury nowych wierszy Samantha Kitsch. ◀

Joanna **Mueller**

poetka, krytyczka, redaktorka. Wydała trzy tomy poetyckie: *Somnambóle fantomowe* (Zielona Sowa 2003), *Zagniazdowniki/Gniazdowniki* (Zielona Sowa 2007, nominacja do Nagrody Literackiej Gdynia) i *Wylinki* (Biuro Literackie 2010), a także książkę eseistyczną *Stratygrafie* (Biuro Literackie 2010). Redaktorka (razem z Marią Cyranowicz i Justyną Radczyńską) książki *Solistki. Antologia poezji kobiet (1989–2009)* (Staromiejski Dom Kultury 2009). Mieszka w Warszawie.





O tym, jak młodzi dobrowolnie finansują przywileje starszych

TOMASZ KASPROWICZ

Co wspólnego mają ze sobą „pokolenie 1000 euro”¹, strategia lizbońska i protesty we Francji przeciwko wydłużeniu wieku emerytalnego, a wcześniej przeciw ustawie o pierwszej pracy? Wszystkie wydają się być przejawem tego samego problemu, z którym Europa nie chce i nie potrafi się uporać. Nie jestem pierwszym, który zauważa związek pomiędzy wymienionymi zjawiskami. Zazwyczaj twierdzi się jednak, że wystąpienia we Francji wywołane są przez istniejący wyzysk młodzieży² czy też próby pozbawienia młodych szybkiej emerytury w przyszłości. Natomiast według mnie protesty te – paradoksalnie – skierowane są przeciwko zmianom mającym na celu poprawę sytuacji młodego pokolenia. Fakt, że młodzież bierze w nich udział, nie dowodzi jej irracjonalnego zachowania. Przeciwnie, sugerować może, że dziś wyzyskiwani nie chcą zmiany systemu w nadziei skorzystania na wyzyskiwaniu innych w przyszłości.

Próba zdefiniowania zarysowanego „europejskiego problemu” pojawiła się w strategii lizbońskiej, która pozostaje oficjalnym wyznaniem winy władz UE. Jej celem było uczynienie Unii Europejskiej najbardziej konkurencyjnym – w domyśle: wyprzedzającym USA – regionem świata do roku 2010. Właśnie porównania do Stanów Zjednoczonych najczęściej pojawiają się w strategii. Dokument wskazuje na problemy związane ze słabościami w domenach tak zwanej gospodarki opartej na wiedzy oraz wymienia trudności dotyczące nieelastyczności i barier w wielu regulowanych dziedzinach – w szczególności rynku pracy.

Strategia dotyczyła na tyle bolesnych kwestii, że nie była ona dyrektywą obowiązującą w UE, ale je-

dynie wskazówką dla krajów członkowskich. Trudno się temu dziwić, skoro drobne próby liberalizacji rynku pracy we Francji wywołały protesty setek tysięcy osób, zaś w wystąpieniach przeciwko podniesieniu wieku emerytalnego brały już udział miliony. Jak można zobowiązać kraje do zmian w sytuacji, w której nawet same sugestie deregulacji na rynku pracy powodują spadek popularności rządzących i miazdzącą krytykę opozycji? Regulowane rynki chronione są przez potężne lobby dbające o zabezpieczenie interesów grup uprzywilejowanych. Siła lobby górniczego, lekarskiego czy energetycznego w Polsce jest nie do zakwestionowania, a przecież każdy kraj w UE ma takie grupy nacisku (choćby personel portów lotniczych we Francji, który strajkuje z zadziwiającą regularnością).

Deregulacja wiąże się z naruszeniem interesów wielu środowisk, budzi kontrowersje i jest pożywką dla populistów. Nie szukając przykładów za naszymi granicami, zauważmy, że wciąż słychać krzyki o „złodziejskiej prywatyzacji”, a przecież pozostawienie firm w rękach państwa jest marnotrawstwem. Trudno zaprzeczyć faktowi, że sprywatyzowane firmy niemal natychmiast poprawiają swoją wydajność, przyczyniając się do wzrostu gospodarczego³. Oczywiście, okoliczności prywatyzacji nie zawsze są jasne. Jako podatnik wolę mimo wszystko o jedną więcej efektywną firmę na rynku, która dzięki podatkom dopłaci do budżetu, niż kolejną nierentowną jednostkę, do której to ja muszę z podatków dopłacać. Z drugiej strony, prywatyzacja oznacza również zmniejszenie zatrudnienia i nacisk na wydajność – co nie podoba się pracownikom – oraz ograniczenie „latyfundiów”, którymi można by obdarować swoją polityczną klientelę, co z kolei nie odpowiada większości polityków. Dlatego też

Dokąd płynie *cargo*?

XAWERY STAŃCZYK

Kulty *cargo* rozpowszechniły się na wyspach Melanezji pod koniec XIX wieku. Stanowiły zjawisko dobrze znane i wielokrotnie opisywane w literaturze antropologicznej, warto jednak o nich przypominać. Wyspy rozrzucone na Oceanie Spokojnym dotknęła w tamtym stuleciu gwałtowna i brutalna kolonizacja, która z rdzennej ludności uczyniła ciężko pracujących biedaków. Z chwilą pojawienia się i osiedlenia białych miejscowi zostali zmuszeni do morderczej pracy w kopalniach, przy uprawach, w najlepszym razie do usługiwania obcym. Opresji ekonomicznej towarzyszyła kulturowa, gdyż autochtoni musieli nauczyć się przynajmniej w minimalnym stopniu języka, poznać religię i kulturę grup dominujących. Kulty *cargo* były swego rodzaju odpowiedzią na wyzysk i akulturację: z jednej strony afirmowały dawne obyczaje, wiarę, sposób życia, moralność, z drugiej zaś przejmowały elementy kultury białych i zdradzały fascynację wyznawców wysoko rozwiniętą cywilizacją techniczną. Naśladując swoich kolonizatorów, miejscowi stawiali maszyny i anteny – drewniane, a więc kompletnie bezużyteczne. Budowali także pasy startowe i porty, oczekiwali bowiem przybycia samolotów i statków z *cargo* – towarem, który miał im zapewnić odwrócenie sytuacji i doprowadzić do rządów autochtonów nad białymi. Stare wierzenia w powrót przodków i wyrównanie krzywd zostały w ten sposób przetworzone w kult dający duchową siłę rdzennej ludności i pozwalający na eschatologiczne wytłumaczenie jej beznadziejnego położenia.

Kulty *cargo* okazały się niezbyt skuteczne. Często wręcz pogarszały sytuację autochtonów, ponieważ kolonizatorzy upatrywali w nowej religii zagrożenia

i konsekwentnie ją tępilli. Z drugiej strony, *cargo* łączyło się z problematyzowaniem własnego losu, powstawaniem ruchów społecznych i kładło podwaliny pod nowoczesną tożsamość.

Zwolennicy globalizacji zdają się głosić dobrą nowinę: wprawdzie z około stuletnim opóźnieniem, ale w końcu *cargo* dotarło na antypody. Udział państw globalnego Południa w światowej gospodarce regularnie rośnie, to tam przenosi się produkcja – już nie tylko prostych elementów, ale także skomplikowanych, zaawansowanych technologii – a w ślad za nią wędrują miejsca pracy. *Cargo* dopłynęło. Wymagało to ogromnego wysiłku całych pokoleń,



Kulty *cargo* z jednej strony afirmowały dawne obyczaje, z drugiej zaś przejmowały elementy kultury białych i zdradzały fascynację wyznawców wysoko rozwiniętą cywilizacją techniczną.

ale przecież ich potomkowie pracują teraz w regulowanych i kontrolowanych warunkach, zdecydowanie lepszych niż w XIX wieku, gdy *cargo* ledwie majaczyło na horyzoncie.

Niestety, dla ogromnych grup ludności globalizacja okazała się złą nowiną i choć zmieniła sytuację, to już niekoniecznie ją poprawiła. Rację ma socjolog Manuel Castells, gdy zauważa, że stary podział na centrum i peryferie nijak nie przystaje do obecnych stosunków w obrębie globalnego społeczeństwa. Centrum uległo rozbiciu na wiele ośrodków,

THE **WORLD'S** **LARGEST** **BOOKSTORE**



H u t n i k

ANDRZEJ LEDER

Smutne dziecko w marynarskim ubranku, z maską przeciwgazową na twarzy. Na głowie czapka z daszkiem. Pod pachą wielki rysunkowy blok, a może teczka wypchana wycinkami, napis na teczce mówi, że „jest super”. Rysunek nóg szkicowy, trochę rozmazany, jedna z nich w pończosze i trzewiku, druga – goła. Naga dziecięca stopa wzrusza. Mówi też wiele o kunszcie twórcy, każdy wie, jak trudno narysować stopę uchwyconą w perspektywnym skrócie. Gdyby graficiarz pomylił proporcje, trudno byłoby skupić się na bezbronny, miękkim charakterze tej stópki.

Cała postać podpisana: „HUTNIK”. Dlaczego hutnik?

Niezrozumiałe graffiti zdobi mur jednej z kamienic warszawskiego Starego Miasta, chwilę dalej ulica przechodzi w rynek. Być może staromiejska lokalizacja spowodowała, że czyjaś niewprawną ręką dopisała obok: „Photo 2 zł”. W końcu za uwiecznienie dzieła sztuki trzeba płacić. Brak jednak jakiegokolwiek adresu lub numeru konta, na które można by przelać pieniądze. Jestem więc dłużnikiem twórcy, chyba zawodowca. Znakomita gra światła i cieni, wysprayed przez szablon, wskazuje na sztukę i zaangażowanie.

Staromiejskie umiejscowienie ma jeszcze jedną cechę, wzmacnia poczucie pewnej niewczesności, jakiegoś zagubienia na przełomie epok, które jest wpisane w to graffiti. Warszawska Starówka sama wywodzi się spoza czasu – jest charakterystycznym znakiem przeszłości, stworzonym jednak zupełnie niedawno przez dziś już zaginionych delegatów uto-

Tilla Manya Chaya Crowne

(1986), urodziła się w Wielkiej Brytanii. Pochodzi z rodziny polskich emigrantów z przełomu wieków. Studiowała sztuki piękne na uniwersytecie w Cambridge, gdzie obecnie miesz-

ka. Tworzy głównie instalacje i rzeźby, do których najczęściej używa żywych roślin i owadów. „Nie da się w pełni kontrolować żywych stworzeń. Kiedy ja skończę pracę, one na własnych zasadach tworzą ją od nowa, zupełnie na mnie obojętne” – mówi. Inspiracji do swoich prac szuka w dzieciństwie. „Moje prace mają jakiś niejasny związek z moim dojrzewaniem, w którym z czasem zauważam coraz więcej niezrozumiałej, traumatycznej złożoności. Odwiedziłam kiedyś dom, w którym mieszkałam jako dziecko

i wszystko obfotografowałam – puste pokoje, opuszczone przedmioty, zdziczałe rośliny. Teraz odtwarzam to, co wtedy zobaczyłam”.

Publikowane w temacie numeru fotografie prac pochodzą z jej wystawy *Migration/Mitigation II*, która została zorganizowana w londyńskiej Saatchi Gallery w roku 2010. Obecnie Tilla pracuje nad ruchomą instalacją w Maida Vale w Londynie.

Adam Pańczuk

(1978), mieszka w Warszawie, pochodzi z Białej Podlaskiej, pracuje wszędzie, gdzie znajdzie ciekawy temat. Studiował na Akademii Ekonomicznej, a także fotografię na Wydziale Komunikacji Multimedialnej ASP w Poznaniu. Realizując swoje projekty, zadaje pytania – wprost, a jednocześnie metaforycznie, o tożsamość, świadomość i postawę wobec świata ludziom, których spotyka. Jest stypendystą Mini-

sterstwa Kultury. Łatwość z jaką posługuje się obrazem, opisując swoje obserwacje, zaowocowała wielokrotnie prestiżowymi nagrodami m.in.:

- Pictures of the Year International, II nagroda w Portrait Series (2011),
- Magnum Expression Award, I honorowe wyróżnienie (2009),
- Lens Culture International Exposure Awards, honorowe wyróżnienie (2009),
- PHotoEspana (PHE) OjodePez Award for Human Values, finalista (2009),
- BZ WBK Press Photo, I miejsce za reportaż w kategorii Portret (2009),
- Grand Press Photo, I miejsce za reportaż w kategorii Ludzie (2009),

• Sony World Photography Awards, finalista w kategorii Fine Art Portraiture (2009).

Publikował w: „National Geographic”, „Newsweek”, „OjodePez”, „Private Magazine”, „Photonews”, „YVI Magazine”, „Azart Potographie”, „F5”, „Le Tigre”, „Contraste Magazine”, „Polityka”, „Press”, „DF Gazeta Wyborcza”, „Przekrój”, „Dziennik”, „Foto”, „Gazeta Polska”.

W „Res Publice Nowej” publikujemy fotografie z cyklu *Karczuby*.



**PARTNERSTWO
WOLNEGO
SŁOWA**

Nowy program „Res Publici”.

Więcej na stronie:
www publica pl / programy

**BIAŁORUSKI 34 Multimedia Magazine
o kulturze miejskiej w Warszawie**

Więcej na stronie 90. tego wydania

www.34mag.net



WE WSPÓŁPRACY Z:

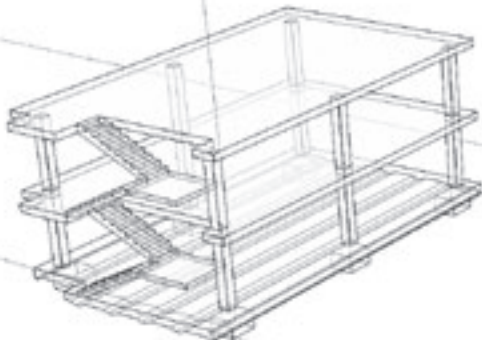
kwartalnik
respublica
NOWA

SCREENAGERS.PL

Projekt jest współfinansowany przez Ministra Spraw Zagranicznych RP w ramach cyklicznego programu Promocja wiedzy o Polsce 2010.

autoportret

PISMO O DOBREJ PRZESTRZENI



Wydawca **mik**

Małopolski Instytut Kultury
www.mik.krakow.pl



Instytucja kultury
Województwa
Małopolskiego

Czasopismo dostępne w salonach empik i w prenumeracie | www.autoportret.pl

JĘZYK I PRZESTRZEŃ

1[33]/2011

O przestrzeni mówimy różnymi językami, właściwymi dla poszczególnych dyscyplin naukowych i profesji. Tymczasem warto pytać, co leży u podstaw naszej władzy językowej, pojmowania szeroko rozumianej przestrzeni i sposobów mówienia o niej. Próbą odpowiedzi na te pytania jest najnowszy numer kwartalnika „Autoportret”, w którym:

- zaglądamy do wnętrza mózgu
- analizujemy przestrzenne tropy w języku
- śledzimy językowe sobowtóry
- badamy granice języka

Zespół:

Kuba Ambrożewski, Ireneusz Białecki, Łukasz Bluszcz, Grażyna Borkowska, Przemysław Czapliński, Justyna Czechowska, Małgorzata Dziewulska, Wojciech Górecki, Piotr Gruszczyński, Łukasz Jasina, Robert Jurszo, Damian Kalbarczyk, Marcin Kilanowski, Piotr Kłoczowski, Jacek Kochanowicz, Andrzej St. Kowalczyk, Sergiusz Kowalski, Marcin Król, Joanna Kurczewska, Jacek Kurczewski, Katarzyna Kwiatkowska, Andrzej Leder, Tomasz Łubieński, Maciej Melon (redaktor działu *Polityka* online), Krzysztof Michalski, Łukasz Mikołajewski, Jan St. Miś, Marcin Moskalewicz, Małgorzata Mostek (redaktor działu *Kultura* online), Martyna Obarska, Aleksandra Niżyńska, Teresa Oleszczuk, Kacper Pobłocki, Arkadiusz Peisert, Jeremi Sadowski, Bohdan Sławiński, Marta Słomka, Aleksander Smolar, Michał Sołtysiak, Piotr Sommer, Aleksandra Stańczuk, Xawery Stańczyk (redaktor działu *Miasto* online), Jerzy Szacki, Weronika Szczawińska, Karolina Szymaniak, Anna Wylegała, Michał Wysocki, Wojciech Zajączkowski.

Redakcja:

Artur Celiński (zastępca wydawcy), Tomasz Kasprowicz, Katarzyna Kazimierowska, Magdalena Malińska (redaktor prowadząca temat numeru), Szymon Ozimek (redaktor prowadzący Res Publica online), Wojciech Przybylski (wydawca), Gabriela Sitek (sekretarz redakcji).

Dziękujemy przyjaciołom i dobroczyńcom:

Michał Baranowski, Hubert Barański, Eugenia Bieloruszczyk, Andrzej Bobiński, Aleksandra Burska, Tilla Manya Chaya Crowne, François Barry Delongchamps, Agata Etmanowicz, Lee A. Feinstein, Jarosław Goudun, Ewa Jarosz, Eva Karadi, Maria Karpińska, Anna Kiedrowicz, Anna Łazar, Natalia Maszarova, Beata Milewska, Agnieszka Nowak, Grzegorz Pędzich, Michał Piernikowski, Kajaetan Poznański, Philippe Rusin, Jędrzej Sokołowski, Iryna Vidanava, Alicja Wacowska, Michał Wenzel, Maciej Witucki, Wiesław Władysław, 34 Multimedia Magazine (www.34mag.net), Ambasada Francji w Warszawie, Ambasada USA w Warszawie, Europejskie Centrum Solidarności, Eurozine, „Commons/Spil’ne”, Fundacja Batorego, Gdańsk 2016, Instytut Polski - Kijów, Łokietka 5 – Infopunkt Nadodrza, Ministerstwo Kultury, Ministerstwo Spraw Zagranicznych, Muzeum Historii Polski, Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie, Ośrodek Kultury Francuskiej UW, RITA – Przemiany w regionie, Warsztaty Analiz Socjologicznych, Wydawnictwo Universitas, Willa Decjusza.

Skróty i podtytuły w tekstach przełożonych pochodzą od redakcji.

Tilla Manya Chaya Crowne jest autorką prac, których zdjęcia publikujemy na okładce i w temacie numeru. Wewnątrz numeru publikujemy zdjęcia Adama Pańczuka.

Redakcja językowa: Magdalena Jackowska i Ewelina Sobol. **Korekta:** Małgorzata Olszewska

Opracowanie graficzne i skład: rzeczyobrazkowe.pl

Adres redakcji:

Res Publica Nowa, ul. Gałczyńskiego 5, 00-362 Warszawa
Telefon: +48 22 826 05 66, faks: +48 22 343 08 33
redakcja@res publica.pl, www.res publica.pl

Wydawca:

Fundacja Res Publica im. H. Krzeczковского, ul. Gałczyńskiego 5, 00-362 Warszawa

Prenumerata:

Cena prenumeraty rocznej (4 numery) wynosi 80 złotych, dla studentów i doktorantów 60 złotych. Prenumerata zagraniczna, Europa: 108 zł, USA: 120 zł, reszta świata: 150 zł. Zamówienia przyjmujemy na adres: fundacja@res publica.pl

Darowizny:

Darowizny wspierające naszą działalność prosimy wpłacać na konto Fundacji Res Publica im. Henryka Krzeczковского nr: 59 2490 0005 0000 4520 7698 5723 z dopiskiem: darowizna na rzecz Fundacji Res Publica im. H. Krzeczковского

Druk: Drukarnia Gemtext Sp. z o.o.,
ul. Puławska 34, 05-500 Piaseczno



Nr 13/2011
203/rok XXIV
ISSN: 1230-2155
Numer indeksu: 375500
Cena 20 zł (VAT 5%)
Nakład 2800 egz.

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego w ramach programu operacyjnego
Promocja czytelnictwa. Rozwój czasopism kulturalnych.

eurozine
SCREENAGERS.PL





ankieta publica.pl



Archiwum pisma od 1979 r.
oraz jeszcze więcej artykułów,
recenzji i komentarzy

